24. grudnia 1891.

DZIENNIK POLSKI

24. grudnia 1891.

NUMER GWIAZDKOWY.

Wydany pod redakcją Stanisława Pepłowskiego.

*

Oto odchodzi..
Spragniona i głodna
Mgła ją porwała w ręce swoje szare
I jasność ssie z niej — i niebawem do dna
Złocistej czary się gnie, by tę czarę
Na wielkim niebios po tawiona stole, —
Czarę, do której dłonie my podnieśli, —
Skruszyć w czerepy, rzucić na swawolę
Bezdusznym mrokom..
Smutną drogę kreśli
Palec przeznaczeń nawet onej gwieździe...
Wszak miała wiarę, nadzieję i miłość
Wskrzesić blaskami swymi w ludzkiem gnieździe.
A oto sama wchodzi na pochyłość
I zabłysnąwszy ledwie, już się toczy
W czarny, przepastny dół, co ma na imię
„Przeszłość“ lub „Nicość !“
„O gwiazdo gasnąca!
W blaskach twych wciąż mniejszych, skąpszych; we mgły [dymie;
We wietrze mroźnym, który już roztrąca
Ostatki złotych strun na twojej lutni, —
Jakaż otucha zejść ma? Patrz: dokoła,
Jak mrowie, tłumy roją się... To smutni
Z pod głazu cierpień i trosk swych powstali —
I dłonie wznoszą błagająco w górę..
Ich oczy trwożne spostrzegły cię w dali,
Gdy blaskiem cienie gnałaś przez ponure;
Słuch im pieśń wróżby słodkiej zapełniła,
Którą przy tobie nucił chór aniołów..
Więc się zebrali ufni, że twa siła
Jak roztopiony spadnie nagle ołów
Na pierś przemocy, krzywd, tyranji ślepej
Losów — i złości wyuzdanej, hardej...
A ty — ty sama strzaskana-ś i w czerepy,
Gasnąca gwiazdo!“
Smutek mój był wzgardy
Bliski, gdy nagle usta moje ciepła
Dłoń — czy anioła? — zamknęła litośnie
Pod ciepłem tchnieniem pierś moja zakrzepła,
Jako zamarzłej pierś ziemi ku wiośnie
Szybszem poczęła znów uderzać tętnem...

Czy to ty, gwiazdo, choć już we mgle zgasła,
Nad mojem sercem roztoczyłaś smętnem
Znowu swe światło? Czy na pustą, głuchą
Głębię istności mojej znów od ciebie
Padł głos, dźwięczący wiarą i otuchą

Tak! Ja na innem ujrzałem cię niebie,
Nie na tem, które pochwytne oczyma
Krótkie ma zmierzchy i świty, — a na tem,
Które wyciąga ramiona olbrzyma
Niedostrzegalne ponad dziejów światem.

I nie w przeszłości ksiegę myśl pomknęła —
Pośrodku przemian, gdzie jako atomy
Każdy z nas żywych do wielkiego dzieła
Dorzuca cząstkę swoją, — ja widomy
Znak twój ujrzałem, gwiazdo z Betlehemu...

Ujrzałem wielkie pychy na proch starte,
I złość ujrzałem, jak nie wiedząc, czemu
W siebie godziła żądłem swem — i Martę
Biblijną, lepszej tu cząstki spragnioną;
Martę pomimo krzywdy i zniewagi
Żywą, rosnącą większą wciąż, — choć w łono
Bezbronnej — nieraz wbijał się miecz nagi.

I oto jasno znowu, coraz jaśniej
Prorocza gwiazdo, czuję znów i wierzę,
Jako nie z ułud, nie z marzeń, nie z baśni
Jest twój początek. Ciebie w dziejów sferze
Sprawiedliwości postawiła ręka.

Błogosławiony, kto przed tobą klęka,
Kto nie wzrok tylko, lecz serce i duszę
Do ciebie wznosi. — Choć z piersią rozdartą,
Może rzec sobie: „Zwycięzcą być muszę!“

I ty to sobie rzeknij Polsko-Marto!

Stanisław Rossowski.

NA GWIAZDKĘ.

Nie wszyscy już pamiętają gwiazdkę, jaka była temu lat trzydzieści.

Byłem dzieckiem jeszcze.

Niezbadane są tajemnice dziecinnego umysłu; wiedziałem już dobrze, że śmiertelni ludzie drzewko ustawiają, obwieszają je złotemi owocami i oświecają płonącemi świeczkami, a jednak w najgłębszym zakątku mojej duszy, chciałem wierzyć, że to drzewko cudem, że cudem cała wilja, że aniołowie siano ułożyli pod obrusem i że cudowną jest woń siana i jedliny, która dom zalewała. I gwiazdy inaczej świeciły, jak w inną noc zimową i aniołowie gdzieś się ukrywali wśród mroku, po kątach dworu wiejskiego i pośród świateł, płonących na zastawionym stole...

Było starszych, krewnych wielu: kiedy ojciec obnosił opłatek z miodem między rodzinę, gości i służbę, życzył „weselszej wilji na rok przyszły“ — a wszyscy te życzenia rozumieli!

Objaśniające słowo byłoby się wydało rzeczą nie świętą, w obec tajemnicy, która się gotowała w narodzie. Wszak mistyczna uderzyła godzina: Napoleon, bratanek tamtego Napoleona, siedział na stolicy we Francji, ujął w swoje ręce sztandar uciśnionych narodów i zwycięztwo po zwycięztwie wplatał do tryumfalnego wieńca. Proroctwa wieszczów naszych, Wernyhory, były we wszystkich sercach i na wszystkich uściech, a niecierpliwy duch narodu spodziewał się, że się ziszczą już jutro, że klęsk już być nie może dla spraw słusznych, że już zapanuje wiek nowy, a w nim królować będzie Ojczyzna!

I moje dziecinne serce biło wraz z sercem starszych tą samą wiarą, tą samą nadzieją cudu!

Przyszły potem chwile zrazu wzniosłe, potem smętne — straszne, przyszedł pogrom narodu, przyszły okropne ukazy, wzrosła cyniczna potęga Bismarka.. Na chwilę jeszcze zajaśniała nadzieja, kiedy się Francja zabrała do boju z Prusami — a potem był trzask wielki, wśród którego zawaliło się coś w Furopie, a pozostały na świecie czczość, przemoc i cynizm.

A tymczasem i dla mnie zgasły cudowne światła na drzewku i darmo w dzień wilji wołałem aniołów. Nie przychodzili długo!...

Życie przyszło! a z niem doświadczenie, że marzenia zawodzą, że trzeba walczyć ustawicznie z rzeczami i z ludźmi i że z największym mozołem obmyślane plany drobne tylko przynoszą plony. Przyszły te lata młodości późnych naszych pokoleń, w których świat jest szary i pusty i w których żaden promień nie przebija się przez nieubłagany płaszcz mglistej prozy, pokrywający całe niebo.

Ale lata mijały — praca rosła i dziś moje dzieci usiędą przy wigilijnym stole i ja teraz sam obnoszę opłatek z życzeniem „ażebyśmy mężniejszymi byli na przyszłą wilję“!

Ale oto aniołowie zjawiają się znowu w dzień Bożego narodzenia siwiejącemu. Nie mówią już z uśmiechem o łatwym cudzie, ale mówią: kiedyś pracował z Bogiem i z męzką wolą, nigdy nie było skutku natychmiastowego, zawsze był niby zawód.. Lecz oto powoli zbiera się żniwo, a plon tem droższy, tem trwalszy, że okupiony w pocie czoła twego, wedle prawa twardego, lecz złotego, które rządzi ziemią.“

I nie spodziewam się, aby dzieci moje doczekały się cudem, albo zapracowały samym zapałem chwilowym jakiegoś ziemskiego raju. Będą żyć, zatem będą ludźmi. Pracować będą wśród ziemskiego kału, ale u kresu drogi stanie anioł, który im poda chleb zapracowany, którego symbolem kutia na wigilijnym stole.

A Naród?

A Polska?

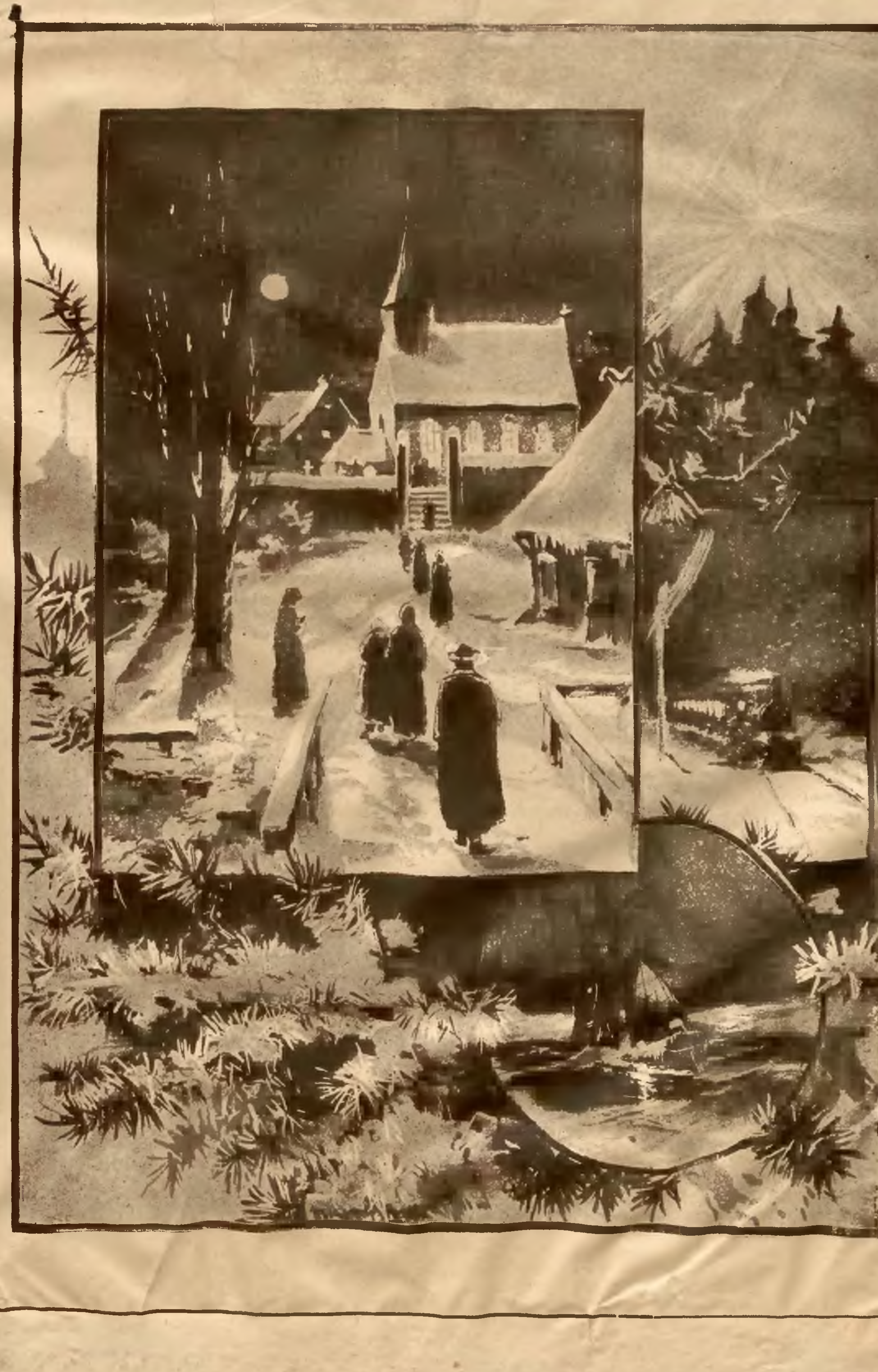
Żyje! Więc pracować może, w cuda łatwe już nie uwierzy, więc pracować zdolna i pracy się ima i rozpaczy do serca nie dopuszcza i dzieckiem jej nie wolno być, nie wolno być niewiastą, cieszącą się zewnętrznemi oznakami własnego nieszczęścia. Los narodów jest jako los ludzi i ci aniołowie, którzy strzegą dróg dziejowych, nie dają palmy zwycieztwa marzycielom i entuzjastom, ale wynikom i tym, którzy depcąc święte prawa, dają tylko tryumfu ułudę. Najpotężniejszy minister, który wczoraj dzierżył berło nad światem, bluźniąc wszelkiemu prawu — może dziś być niemocnym świadkiem tego, jak mu ktoś wydrze władzę, o którą nie potrafi nawet walczyć.

A mocarz, co cięży nad miljonami niewolników i w dumie swojej mniema, że jest wyższy nad prawa ludzkości, może jutro dostrzedz, jak powieje wicher o elementarnej sile i jak potęga jego olbrzymia stopnieje wśród głodu i nędzy, sprowadzonych jego dumą.

A my pracując i trwając przy zmężniałej wierze ojców, nie możemy sobie życzyć już na drugi rok szczęścia, sprowadzonego cudem bez naszej zasługi. Ale wiemy, że jak wytrwamy tam, gdzie nas Bóg postanowił, zejdą się kiedyś dzieci nasze przy wielkiej wilji i łamiąc się opłatkiem powiedzą:

„Oto ziściły się proroctwa wieszczów naszych, skoro śmy się sami stali godnymi być wielkim narodem“...

Wojciech hr. Dzieduszycki.



WSPOMNIENIE WIGILJI BOŻEGO NARODZENIA NA OBCZYŹNIE.

Litwo ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!

Ile serca, rzewności i prawdy w prostocie tych czterech wierszy! Jakiegoż narodu epopeja, pierwszem od razu słowem głębiej przemawia do duszy, jak „Pan Tadeusz“, a przemawia nie tylko do polskiej duszy, ale i do duszy każdego człowieka, kochającego ojczyznę

Ojczyzno! ty jesteś jak zdrowie, ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił! tak zawołał król piewców wygnaniec, i rozumie go każdy, nietylko Polak wygnaniec i z westchnieniem i łzami powtórzy słowa naszego wielkiego Adama.

Byłem wygnańcem — i wiem, jak tęsknota za ojczyzną podnosi, rozjaśnia wartość utraconego skarbu; wiem, jakim ta tęsknota jest potężnym, nie do rozerwania chyba śmiercią łącznikiem ze skarbem utraconym, z ojczyzną. Tej tęsknoty nie ukoją ani jaśniejsze od naszego niebo, ani cuda bogatej przyrody; napróżno do wygnańca uśmiechają się w całym swym majestacie najpyszniejsze krajobrazy: patrzy na nie z zachwytem i oto zwolna i źrenica jego łzą nabrzmiewa, — krajobraz rozpływa się jak we mgłach, a na miejscu jego przed duszą staje jakaś uboga okolica — wygnaniec westchnął, poznał ją... to jego rodzinna, ojczysta! chwycił się za piersi, jakby w nich chciał zdusić ból i zawołał w rozpaczy: czy ciebie straciłem na wieki!

I dla czegoż tę ubogą jakąś okolicę tak ukochał wygnaniec, że na zaklęcie jego boleśnej tęsknoty stanęła przed nim, a przed oczu jego spędzając bogaty krajobraz, ubrany we wszystkie cuda przyrody? Bo ten ubogi jakiś skrawek ziemi — jest wydarty z ojczystej, wielkiej areny, na której budował się gmach dziejów narodu; areny, na której stoją odwieczne pomniki chwały, wielkości, tryumfów i święte pomniki narodowej żałoby i boleści; bo ta uboga okolica jest jego kolebką, karmicielką, piastunką; bo ona na indywidualności wygnańca wycisnęła narodowe piętno, wychowując go w tradycji — swych pojęć, zwyczajów i obyczajów; — bo to jego ojczyzna! Kto nie ukochał swych dziejów, pomników chwały i żałoby, lub ich nie znając głębiej, nie ukochał zwyczajów i obyczajów ojczystych — temu wszędzie będzie dobrze, gdzie cieplej, jaśniej, gdzie żyć łatwiej, gdzie praca mniej poci, a większy i pewniejszy plon wydaje.

Jak silnie z miłością ojczyzny zlewa się przywiązanie do zwyczajów i obyczajów, najlepszym tego dowodem dla nas na wygnaniu jest Boże Narodzenie i Wielkanoc. Wszakże te dwa święta, wszędzie, gdzie tylko są chrześcijanie, obchodzone są z największą wspaniałością i uroczystością — a jednak do naszych dusz polskich nie przemawiają tak potężnie, jak tych samych wielkich dni obchody w Polsce. Dla czego? bo mają swoją odrębną cechę narodową; jakieś z nich dziwne wieje ciepło braterstwa i miłości, jakby ze słońca oświecającego i ogrzewającego porówni wielkich z maluczkimi. Te dwa święta, Boże Narodzenie i Wielkanoc, Polacy na obczyźnie obchodzili zawsze gromadząc się razem, nieraz bardzo z daleka, zdążając do punktu zbornego.

Gdy zbliża się czas tych dwóch wielkich świąt — tęsknota wygnańca, niejako przytłumiona pracą, ruchliwem życiem i jego trudem, budzi się i z podwójną siłą ściska biedne serce, wskrzeszając w pamięci najdrobniejsze nawet wypadki, związane z domowem ogniskiem, z rodziną i rośnie do potęgi tęsknoty za ojczyzną

* * *

Byliśmy rozrzuceni na długiej linji telegraficznej, której budowę miałem sobie powierzoną przez rząd turecki. Józefa Accorda, kolegę szkolnego ze Sejn i Suwałk, wysłałem był do gubernatora, a sam wziąwszy na siebie większy dział roboty, zostałem się w górach we wsi z Olszewskim legjonistą z węgierskiej kampanji 1849, który padł później w 1863 r. przy moim boku, śmiertelnie ranny i umarł w rumuńskim lazarecie w Gałacu. Wybierałem się właśnie na robotę, myśląc o samotnej, smutnej wigilji, która nas jutro czekała, gdy wszedł Turek czausz i oddał mi przywiezioną kartkę od Accorda, z temi tylko słowami: „wszystko dobrze. Przybywaj natychmiast, jesteś tu potrzebny. Czausz cię do mnie doprowadzi, a ma polecenie dopilnowania, żebyś jednej chwili nie stracił.

— Cóż się tam stało? — zapytałem. — „Coś jest od paszy, ale wszystko dobrze, zabieraj się effendim w drogę bo daleka.“

W pół godziny później zasmuconego Olszewskiego uściskawszy, dosiadłem mego dzielnego siwka, wsunąłem po turecku strzelbę między kolano i siodło i dalej naprzód za czauszem. Ruszyliśmy skroczem, którym tak znakomicie chodzą tureckie konie i zatrzymawszy się parę razy po kilka minut w drodze, o zachodzie słońca przybyliśmy do wsi, w której zamiast noclegu zastałem czekające na nas konie. Przerzuciliśmy tylko na nie siodła i dalej znów w drogę!

Dodatek do Nru 357. „Dziennika Polskiego.“

bo czausz stanowczo twierdził, że bardzo pilno. Szczęściem, że księżyc świecił, bo w wielu miejscach trzeba było się piąć na górę po kamienistych, kozich szlakach i w dół się znów spuszczać na złamanie karku. Po północy zmęczony stanąłem u Accorda. — A cóż to za pilna sprawa? zapytałem go, uściskawszy. — „Pilna, bo pilna! ale o niej jutro dość czasu, a teraz siadaj jedz, boś pewno głodny i kładź się spać.“

Rano budzi mnie z twardego snu trąbka myśliwska, a Accord był na niej mistrzem, jak wojski. Nie zdziwiłaby mnie ta pobudka, gdyby chrustówce Acorda nie odpowiedziała matecznica z wielkiego rogu sycylijskiego wołu, który kupiłem był w Messynie. Trąbę tę przecie ma Olszewski, cóż on tu robi?

Wstawaj! — zawołał wchodząc Accord — wszystko już w porządku; wszakże to wigilja! nie mielibyśmy jej powitać w kniei? Ubieraj się! jest twój gagatek Blek i są twoje ogary.

— Blek i moje ogary? a toż biedactwo musi być zmęczone!

— Ho! ho! ho! a muły i kosz od czego? Gracko się sprawił czausz, poczciwe turczysko; w dwie godziny po tobie przybył Olszewski i twój mazur Jan. Słyszysz, jak pieski radośnem skomleniem wtórują matecznicy? Spiesz się! oto czarka czarnej kawy, bo to dzisiaj, po zwyczaju naszych ojców do gwiazdy na niebie post! Dalej do kniei! zobaczysz, będą to królewskie łowy, które twoją ukochaną Gryszkabudę w kozi róg zapędzą,

I było polowanie królewskie! Accord jako łowczy dobrze zarządził nagonką i z nią puścił ogary w jakieś obozowisko dzików w kotle między górami. Cóż to było za hukanie, co za muzyka ogarów, a jaka gęsta palba! Zeszliśmy ze stanowisk, zniesiono pobitego zwierza i zagrzmiał tryumfalny rapsod na chrustówce i matecznicy — a grali na nich nie dyletanci, ale dwaj mistrze. Takiego koncertu nie słyszały nigdy i pewno go raz drugi nie usłyszą góry Macedonji. Było z czego tryumfować — przed nami rozciągnięte leżały trzy ogromne odyńce, tyleż mniejszych dzików, rogacz i kilka lisów z dwoma szarakami. Z dumą Accord wskazawszy zwierzynę, rzekł do Bułgarów, pomagających nam polować: zabierzcie to, to wszystko wasze. Ileż było radosnych podziękowań!

— A teraz dokąd mój łowczy? — zapytałem — bo to eszcze nie ma południa — „Ho! ho! może ci jeszcze niedźwiedzie lub łosie zagnać przed rusznicę? Słyszysz, jak tam twój Pała gra w dole; Olszewski z mazurem ubiją szaraka i psa złapią; a my dwaj na wyżynę! wyzywam cię na pojedynek. Oto i twojego Bleka prowadzą; będzież i on się cieszył, bo tu na wielkiem płaskowzgórzu przed nami istny kurnik czerwonych kuropatw. Prawdę mówił mój łowczy; znaleźliśmy kilka stad tych pysznych ptaków. Accord dnia tego strzelał wybornie i z trudem ledwo przechyliłem zwycięstwo na moją stronę. W złotym humorze siadł łowczy na konia i o zachodzie słońca wjeżdżaliśmy na kwaterę.

— Tu! tu panowie! — zawołał z przed jednego domu mój mazur — bo tam spadło kilka smolnych polan z ogniska i taki dym, ze i szczury na śmierć by się zakichały. — Wyskoczył jednocześnie i Olszewski, zapraszając do siebie. — Pootwierajcie drzwi i okna! to dym przecie wyjdzie rzekł szorstko Accord — a spieszcie się, bo teraz poczynam czuć, żem strasznie głodny.

W kwadrans dano znać, że dymu już nie ma. Za gospodarzem wszedłem do izby, stanąłem zdumiony i wykrzyknąłem: to taki wasz dym! — Izba oświecona cała ściany od góry do dołu umajone wieńcami d ż y g r y, której koralowe jagody tak żywo odbijają od połyskującej zieleni liścia; na środku na wielkiej rogoży niski, okrągły stół turecki, a na nim na sianie zastawa wieczerzy. — A niechże cię uściskam! — zawołałem — a toż to polska wigilja! — „I do tego litewska! masz zupę migdałową i ryby i tłokno owsiane i kutję, a są i miodowce z makiem.“

— Ach! gdyby choć kawałek opłatka! — szepnąłem z westchnieniem. — „Jest, jest i opłatek!“ — odpowiedział Accord z uśmiechem, zdejmując nakrycie talerza na stole „— oto masz całą paczkę opłatków — a podają nam je rączki prześlicznej Polki, pani baronowej Baumowej, żony konsula austrjackiego w Salonice.“

Gdy ze mną pierwszym dzielił się opłatkiem druh mój serdeczny, potoczyły się po jego twarzy dwie bujne łzy, z bolem zawołał: Litwo, ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie; ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił — i z tłumionem łkaniem rzucił sie na piersi moje.

Podzieliwszy się opłatkiem i z turkiem czauszem i z Bułgarami ze starszyzny wiejskiej i z naszą służbą, wytłómaczywszy cudzoziemcom znaczenie tego symbolu, siedliśmy wszyscy na kilimkach około stolika do wieczerzy i spożywaliśmy ją swobodnie, jakby synowie z pod jednej strzechy. Po wieczerzy sięgnął Turek po pozostały opłatek i ku miłemu zdumieniu mojemu rzekł do mnie poważnie: Pozwól, niech się tak kończy jak się zaczęło, bo to piękny, szlachetny ten wasz zwyczaj. Uściskałem Turka i stało się jak chciał.

* * *

Dziś, już na ziemi polskiej, łamiąc się z rodziną opłatkiem, opowiadam tę wigilję Accorda w Macedonji, powtarzam słowa Turka i zaklinam me dzieci, aby temu świętemu polskiego chrześcianina obchodowi nie odbierali nigdy choćby najdrobniejszego znaczeniem zwyczaju który zostawili nam ojcowie nasi. A wam czytelnicy, łamiąc się w duchu i z wami opłatkiem, życzę wesołych świąt, spełnienia waszych pragnień narodowych i oby nikt z was, ani [illegible] z waszych synów i wnuków nie był skazany na obchód dnia dzisiejszego, jako a na obczyźnie. Nie daj, wielki, miłosierny Boże, aby z ich piersi wydzierać się miał wykrzyk naszego wieszcza: Ojczyzno! ty jesteś jak zdrowie; ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił.

Karol Brzozowski.

MŁODYM.

Swięć się, święć się wieku młody.

O szczęsny wieku wierzeń w gwiazdy senne!
Na lotnych skrzydłach młodego natchnienia,
Przelatasz niebios otchłanie bezdenne!
Co dnia prześwięte masz wniebowstąpienia!
Co dnia cię nowe, blaskami odmienne
Widmo cudownych dziwów opromienia.
I co dnia w nieba porywa obszary
Na skrzydłach młodej tęsknoty i wiary!

—

Szczęśliwy wieku nadziemskiej żeglugi,
Gdy serce wrącą tęsknot krwią opływa,
Błyskawicowych tęcz płomienne smugi
Grają ci w duszy; sfer harmonja śpiewa
Z hymnem serafów łącząc grzmotne fugi...
Zda ci się iżeś jest środkiem ogniwa
Co potężnemi ramionami splata
Świat nasz maluczki z bezmiarem wszechświata!

—

Orlemi loty do gwiazd pędzisz śmiało!
A sięgnąć po nie — zda ci się — jest niczem!
I sięgasz dłonią Tezeów zu hwałą,
I z rozpalonem ku Bogu obliczem,
I prometejskich żądz pierś mając całą
Chwytasz ten promień, co jest tobie Zniczem
Nieśmiertelnego — i ponad padołem
Przelatasz jasny, z spromienionem czołem!

—

Kto cię miał: szczęsny na życia padole!
Ten, choć go chmurą osnuje zgryzota,
Iż błądząc w pragnień niespełnionych kole,
Iść ma przez „cmentarz z łez, ze krwi i błota“,
I padać z wieńcem cierniowym na czole,
I, że tu marny i marnych helota
Życie ma swoje w ciężkim bolu spalić: —
Ten pójdzie mężny — nie będzie się żalić!

—

Szczęśliwy wieku, stokroć poświęcony!
Nigdy uniesień twoich nie zapomnę!
Blaski mi twoje staną za korony,
A za królestwa całe przeogromne,
Ten obszar marzeń wolnych, nieskończony,
W których, jak ptaszę, choć szare bezdomne,
Mogłem w przeczuciu życia nieskończenia
Wzlatać nad ziemią; obrazem więzienia.

Roman Poliński.

Dlaczego?...

Sam na szerokim świecie, mimowoli sięgnął myślą w przeszłość...

Ujrzał się dzieckiem w skromnym dworku szlacheckim, w małym niskim pokoju, przy dębowym, kwadratowym stole, zarzuconym papierami...

Siadywał wieczorem nad książką, pracując mozolnie nad zgłębieniem tajemnic alfabetu. Przy nim, z robotą w ręku siedziała matka, a gdy go siły opuszczały, gdy wola słabła, gdy lenistwo brało górę, wówczas zachęcała go do wytrwałości, przypominając, że niebawem święta, a tylko grzeczne i pracowite dzieci dostają drzewka...

Był więc grzeczny i pracowity i marzył o drzewku...

Z jakąż niecierpliwością czekał na owe święta, jak gorączkowo i niecierpliwie patrzył w ów wieczór wigilijny na drzwi, za któremi kryła się tajemnicza choinka.

Skromna ona bywała!

Parę świec, kilka przysmaczków, kilka złoconych orzechów i jabłek zawieszonych przez matkę — ot i wszystko! Ale te przysmaki dziwnie były dobre: zielonego drzewka nie oddałby za szmaragdy, świec za gwiazdy lśniące — złoconych orzechów za skarby. To drzewko było mu źródłem zachęty i wytrwałości — nagrodą i nadzieją nagrody — jego szczęściem.

* * *

Raz zaprosił go do siebie na drzewko jeden z jego kolegów, bogaty „panicz“ tej wsi. Ubrano go pięknie w welwetowy kubraczek, zawiązano jedwabną chusteczkę na szyję, dano mu rad dosyć i przestróg i wysłano do pańskiego dworu.

Młody panicz zaprowadził go do salonu, w którym w półcieniu stało rzęsiście oświetlone drzewko. Mnóstwo różnokolorowych świeczek łamało swój blask w złocistych i srebrzystych gwiazdkach, w tuzinie lampionów szklannych; dokoła drzewka rzucono fantastycznie różnobarwną pajęczynę, u góry zaś w tęczowym blasku zawisł duży aniołek, głoszący „Chwałę Panu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli.“

Był olśniony i — przygnębiony!

Czemże było jego drzewko wobec tych piękności i skarbów?

W umyśle dziecka rozbudził się żal: wszak nauczyciele mówili mu, że jest i lepszym i pilniejszym od owego panicza — dlaczegoż nagroda — jego drzewko — tak ubożuchne, a to tak wspaniałe?

Z pogardą niemal myślał o swem drzewku... — Źródło jego szczęścia wyschło...

* * *

Nie było już dla niego Bożego drzewka — ale drzewko marzeń, na którem wyobraźnia zawieszała złote lśniące cacka, mieniące się tysiącem barw i świateł. Wpatrzony w to drzewko szedł z uporem i wytrwałością i nadszedł wreszcie dzień, gdy stanął przed niem.

Chciwie wyciągnął dłonie po złote owoce i zrywał je, choć szpilki dłoń raniły.

Złote?

Nie! pozłocone tylko tak zgrabnie, że pozłota kryła wnętrze, pełne robactwa i zgnilizny...

Sięgnął po słodycz — znalazł ją mdłą!

Błyskotliwe barwy były fałszem, złoto — szychem.

. . . .

Dla czego wówczas, gdy stanął przed złoconem drzewkiem, nie pomyślał jaka zachodzi różnica między tamtem a jego drzewkiem? Dla czego nie zastanowił się, że jego świeczki, sporządzone przez ojca w domu, z własnego wosku, świeciły się dłużej i jaśniej, niż owe kolorowe światełka, dostarczone ze sklepu; dla czego nie pomyślał, że skromne przysmaki były starannie wyszukane przez kochającą matkę, a te złocone cacka przysłane były za pieniądze od obojętnego kupca? Dla czego biegł myślą do złotego szychu, do robaczliwego owocu, odzianego złoconą powłoką, do baniek szklannych, które błyszczały cudzem światłem, a ujęte dłonią pryskały i raniły ją?...

Dla czego — dla czego — dla czego?

Tysiąc odpowiedzi, ale ani jedna nie wyczerpywała treści tych dwóch słów — dla czego?

Z pod przymkniętych powiek spłynęła łza gorąca...

Był to opłatek, którym przełamał się z przeszłością.

Ostaszewski-Ba[illegible]ski.

Pies Aleksandra Wielkiego.

(Myśl z Ratisbone'a).

Wielkiemu władcy, z Indji przysłano brytana.
Pies duży niby źrebak, z mądremi oczyma,
Taki niedźwiedzia zmoże, gazelę przytrzyma
I dzikiego bawołu rzuci na kolana.
Więc król, chcąc się przekonać o brytana sile,
Każe wypuścić dzika. — Dzik kłami połyska,
Pianę toczy, grunt ryje, krwawem ślepiem ciska...
Lecz pies ani się ruszył, ni zadrżał na chwilę.
Król zdumiony, rozkazał wypuścić jelenia:
Dumny jeleń rogami potrząsnął wspaniale,
Pies popatrzył, lecz z miejsca nie podniósł się wcale,
Tylko ogonem machnął jakby od niechcenia.
Ogniem gniewu źrenice swoje król zapalił
I kazał lwa wypuścić! — Wybieżał zwierz srogi:
Ledwie, że pies go zoczył, zerwał się na nogi,
Chwycił, zdusił i u stóp królewskich go zwalił.
Może to tylko bajka, — lecz z bajki nauka:
Mierz się z równym, — słabszego zwyciężyć, nie sztuka.

Władysław Bełza.

8. grudnia 1891 r.

TRZY WILJE.

Mróz iskrzył się w powietrzu i zimnym tchem śmierć niósł żyjącej istocie. Z dala migotały gwiazdy jakby na urągowisko tym, którym na ziemi i świat[illegible] ciepła. Kto mógł tulił się w ciepłej [illegible] ptactwo nawet szukało schronienia pod dacham[illegible] domów. Biada temu, kto w noc taką nie ma nad głową innego dachu, jak zasłany gwiazdami przestwór niebieski...

* * *

Wilja...

W rzęsiście oświetlonych salonach pierwszego piętra zaroiło się. Panie w błyszczących toaletach, panowie we frakach, wzajemne życzenia, śmiechy, szepty, półsłówka i znaczące spojrzenia. W jednym salonie naokoło jarzącego się niezliczonemi światełkami drzewka, zebrała się gromadka dzieci w niemym podziwie oatrząc na porozwieszane na gałązkach cuda. Do ośmioletniej, pięknej jak anioł, dziewczynki zbliżył się spóźniony gość.

— Cóż nie pocałujesz mnie na przywitanie Maniu? Czy ty mnie nie kochasz?

Dziecko skryło się po za towarzyszki.

— Nie kocham, bo pan stary i brzydki?

— Co ty mówisz Maniu! — odzywa się przerażony głos matki — zaraz pocałuj pana Alfonsa.

Dziecko rozpłakało się. Pan Alfons wydobył z kieszeni pudełeczko.

— Patrz Maniu jakie śliczne przyniosłem Ci na gwiazdkę kolczyki, cóż pocałujesz mnie?

Dziewczątko wysunęło główkę po nad ramię towarzyszki. Z po za łez, ciekawe i pożądliwe spojrzenie padło na błyszczący w ręku pana Alfonsa przedmiot.

— No cóż kochasz mnie Maniu? rzekł pan Alfons wznosząc wysoko w górę pudełeczko z kolczykami.

— Ko... kocham... wyszeptało dziecko i jedną ręką sięgając po kolczyki, drugą objęło pana Alfonsa za szyję...

Anioł prawdy unoszący się po nad dziewczynką, zapłakał nad tem pierwszem kłamstwem i uleciał w powietrze daleko, daleko, daleko...

* * *

Wilja...

Na poddaszu w zimnej, pustej izdebce tuli się rodzina biednego murarza. Wilja znaczy tu zimno, brak zarobku i głód. Okopcona lampka rzuca ponure światło na wynędzniałe, chłodem i głodem wycieńczone postacie. Zaskrzypiały drzwi

Do izdebki weszły dwie panie w bogatych futrach w towarzystwie podstarzałego kawalera w sobolach, za niemi służący z dużym koszem...

— Przynosimy wam wieczerzę wilijną z towarzystwa dobroczynności — rzekła jedna z pań oglądając się trwożliwie po nędznej izdebce.

Murarz ciężko podniósł się z barłogu, dzieci zastraszone patrzyły na niezwykłe zjawisko.

— Co za cudownie piękne dziecko! — zawołał po francusku pan w sobolach do swoich towarzyszek, wskazując na ośmioletnią dziewczynkę.

— Zbliż się no mała, jak ci na imię?

— Zosia — wyszeptało dziecko kryjąc się po za matkę.

— No chodź że tu Zosiu i pocałuj mnie ładnie.

Cóż to nie kochasz mnie? Co?

Zosia spojrzała na żółtą, zapadłą twarz mówiącego i uporczywie milczała.

— Cóż to ty nicponiu nie pójdziesz do tego dobrego pana, co przyszedł pożywić nas biednych? zawołała ostrym głosem matka i popchnęła dziecko naprzód.

Zosia milczała.

— Ot widzisz jaka piękna bułka — zawołał pan w sobolach biorąc z kosza bułkę i unosząc ją w górę — dostaniesz ją, jeżeli mnie ładnie pocałujesz

Zosia sięgając jedną ręką po bułkę, drugą objęła go za szyję...

Anioł prawdy unoszący się po nad dziewczynką, zapłakał nad tem pierwszem kłamstwem i uleciał w powietrze — daleko, daleko, daleko...

* * *

Po dziesięciu latach.

Wilja...

W rzęsiście oświetlonych salonach pierwszego piętra zaroiło się. Panie w błyszczących toaletach, panowie we frakach, wzajemne życzenia, śmiechy, szepty, półsłówka i znaczące spojrzenia...

W bocznym pokoju pani domu z córką.

— No cóż, Maniu, zdecyduj się wreszcie. Wiesz przecież, że jesteśmy zrujnowani. Pan Alfons bogaty, będzie cię na rękach nosił i obsypie cię brylantami. Trzeba jeszcze dziś ogłosić wasze zaręczyny.

— Ależ mamo on taki stary, ja jego kochać nie mogę!

— Dzieciństwo! Dość, że on ciebie kocha. Będziesz szczęśliwą.

Do pokoju wszedł pan Alfons.

— Mama zgadza się. Niech wam Bóg błogosławi!

Pan Alfons na trzęsących się nogach zbliżył się do Mani i spuszczając się na jedno kolano, podał jej bogaty brylantowy naszyjkik.

Mania jedną ręką bierze naszyjnik, drugą podała narzeczonemu do pocałowania...

* * *

Wilja...

Na poddaszu w ciemnej, pustej izdebce, tuli się rodzina ubogiego murarza. W tym samym domu na pierwszem piętrze, Zosia cała drżąca, dzwoni do drzwi eleganckiego mieszkania. Otwiera jej sam gospodarz, stary kawaler o żółtej pomarszczonej twarzy.

— A przecież przyszłaś moja gołąbko — woła uradowany i ciągnie ją do wnętrza mieszkania.

— Zlituj się pan, matka chora, ojciec w szpitalu, w izbie zimno, od wczoraj nie ma co w usta włożyć.

— A nie mówiłem-że ci, przyjdź do mnie? No chodź, chodź, uściśnij mnie ładnie a dostaniesz ile tylko zechcesz.

Dziewczę wzdrygnęło się. Stary wydobył z kieszeni większy banknot i wykrzywiając twarz do uśmiechu, pokazał jej go.

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Tak moje dziecko, ale pierwej musisz pokochać mnie trochę.

Dziewczyna zawachała się. W tem przyszła jej na myśl chora matka, głód i chłód w izbie, wyciągnęła jedną rękę po banknot, a drugą otoczyła szyję starego rozpustnika...

* * *

Po latach dziesięciu.

Wilja...

W wcześnie oświetlonych salonach pierwszego piętra zaroiło się: Panie w błyszczących toaletach, panowie we frakach, wzajemne życzenia, śmiechy, szepty, półsłówka, znaczące spojrzenia.

Rój mężczyzn otacza panią domu, która piękna jak bóstwo i promieniejąca szczęściem, rzuca na prawo i na lewo grzeczne słówka, zalotne uśmiechy. Pan Alfons w drugim pokoju zasiada do kart.

— Co za cudowna kobieta — mówi jeden z towarzystwa — a jak ona umie ślicznie starego trzymać na pasku.

— Ba! może być kontent, że dostał taką żonę. To też obsypuje ją brylantami. Ależ co to za młody człowiek, z którym ona coś szepce?

— Jakto, nie wiesz? To najnowsza zdobycz naszej pięknej gospodyni. Od kilku tygodni jej urzędowy kochanek.

— Tak? A cóż porucznik?

— Porucznik? poszedł już dawno w odstawkę. Znudził ją. Cóż w tem zresztą dziwnego, taka piękna kobieta! Zresztą *elle peut se payer ce luxe*, mąż taki bogaty! Szczęśliwa kobieta!

* * *

Wilja...

Na poddaszu w zimnej, pustej izdebce tuli się rodzina ubogiego murarza.

Do drzwi nieśmiało zapukano, w oczach zebranych zabłysł promyk nadziei.

Może Bóg miłosierny zlitował się przecież nad ich nędzą! Do izby nieśmiało wsunęła się kobieca postać i cała trzęsąc się od zimna i strachu stanęła w progu. Na strzępy ubogiego odzienia [illegible] wypłowiała chustka. Na wynędzniałej twarzy, występek wyrył swe znamię. Oczy z błagalnym wyrazem zwróciły się na starego murarza.

— A co tam? Czego tu chcesz? — odezwał się głos z barłogu.

— Nie poznaliście mnie tato? To ja, Zośka. Zlitujcie się, przyjmijcie chociaż na nocleg. Trzy dni, jak jestem w drodze... nic w ustach nie miałam...

Stary zerwał się z barłogu

— Precz mi z oczu, wietrznico! Idź do swoich gachów i nie kalaj czterech ścian poczciwego rzemieślnika.

— Ojcze — jękneła kobieta — zlitujcie się nademną, ja zginę na mrozie!

— Giń ścierko! — i silną ręką wypchnął ją za drzwi.

* * *

Mróz iskrzył się w powietrzu i zimnym tchem śmierć niósł żyjącej istocie. Zdala migotały gwiazdy, jakby na urągowisko tym, którym na ziemi i światła brakło i ciepła. Kto mógł tulił się w ciepłej izbie — ptactwo nawet szukało schronienia pod dachami domów. Biada temu, kto w noc taką nie ma nad głową innego dachu, jak zasiany gwiazdami przestwór niebieski...

Wiedeń, w grudniu 1891.

Adin.

Piekło literackie.

(Poemat heroiczno-polemiczny).

(Fragment.)

Siadam i piszę. Ludy — nowa Era!
Laurami próżne przeładuję kufry.
Skoro Saturnus połknął już Sotera
I rymotwórca oniemiał, Onufry —
Skoro mam pióro — papier i kałamarz —
Ja miałbym milczeć?... Ja?... Nie. — Wolę blamaż.

Zkąd blamaż?... Sakwom ulżyj, śmiały wieszczu,
Skromności balast — precz!... Dziś — s ł o ń c a same.
Mimo Zoilów skrzeku, jadów deszczu,
Ciotunie taką spiętrzą ci reklamę,
Że mężobójcy krnąbrnych ugną karków
I od P i j a r ó w wielki'ś — po K u l p a r k ó w.

Piszę więc... „Synu“ — prawi Ben Akiba —
„Słodką jest sława“.. Toż wyznam, rad nie rad, —
Łaknę... Bez wody żyć nie zdolna ryba,
Puzanów wrzaskiem żyje zaś literat.
Choćby mnie w strzępy rwać miano, intruza,
Piszę — wawrzynów łaknąc, albo... guza.

Wawrzyn i guzy — w literatów gwarze
Synonimiczne — nie chadzają luzem.
Swojskie zagadnąć jeno luminarze:
Guz nieraz laurem; laur znienacka guzem
Potworna durzy świat metamorfoza:
Wawrzyn się krzewi, gdzie przystoi — [illegible]a.

Sławo! Niewiasto!.., Ścigam Cię tak [illegible]arko,
A ty umykasz, gęstym mglista kwefe[illegible]...
Sławo: Raz jeden bądź mi Putyfar[illegible],
A ja — naiwnym nie będę Józe[illegible]em...
Cnót fundamenty srodze mam za[illegible]wiane;
Poły — nie urwę. Szarpnij — [illegible]a zostanę.

Lecz choćbym nucił namiętnie, a dziko,
Jak słowik — choćbym gardziel darł jak czyżyk,
Jakżeś mi zimną Sławo! — ty, podwiko!
Węszysz, że piąty cięży mi już krzyżyk..
Sił mych okruchy szargam — spocon — blady
A ty... pod kościół szlesz mnie, między dziady?!.

Dla mych „Serdecznych“ zjadliwy ten przytyk
Manną. Autorski mój horyzont chmurny.
Już'em był wzleciał; w tem tkliwy druh-krytyk
W końskie podkowy podkuł mi koturny
I spadłem. — Po cóż było u Brockhaus'a
Dać się drukować — gdzieś aż w Lipsku?... — Pauza

Śmiało brnę naprzód po tak gładkim wstępie.
Ty wiedź mi pióro, Mussagety siostro!
Pióro — nie orle, jastrzębie lub sępie —
Lecz gęsie; nawet nie przycięte ostro.
Spokojnie niechże Cenzor sypia, bramin;
Wara tej skóry święty tknąć pergamin!

A zaś w zanadrzu gromowe mi strzałki
Drzymią: filipik spory kryję stosek.
Rymy się sypią w bród, jak ulęgałki,
A że na kłykciach nie liczyć mi zgłosek,
Więc gdy gęśl skubię, aż jęczy!... Do łez ją
Zmuszam, nieboge. Zwie się to — p o e z j ą..

Boć histeryczki wzór, fortuna licha,
Dziwnie mną igra wzdłuż autorstwa ścieżki:
Z prawej „p a n s r o g i z n o ż y c a m i“ czycha —
Z lewej „s e r d e c z n i e“ kły szczerzą koleżki —
Co krytyk chwali, Cenzor grzebie szpetnie —
Cenzor oszczędzi, krytyk pewno zetnie!..

Zemstą więc dyszę.. Atyckiej krzta soli —
I z wielkim mógłbym pożreć ich rozgłosem,
Wszystkich „Serdecznych“ — wprzód (kruchoś gwoli)
Żółci tatarskim podlawszy ich sosem.
Lecz krzyż na wszelkie kłaść bym wolał laury,
Niż t a k i e dławić — w k o l e b k a c h Centaury!

Toż milczę... Skroń mą wznosząc jak bohater.
Drwiąco twarz kurczę dumny — lecz ostrożny..
Co rychlej pomsty wrący gaszę krater —
Miecz mój Rolanda rzucam między rożny,
I „lulkę miru“ podaję Zelantom:
Niech wam nie płoszy snów — odwetu fantom!

Spij — coś Kaina godził pałką we mnie,
Plagiaty wietrząc... Spij — zaniechaj Abla!
I ty w spokoju żuj, coś mi tajemnie
Z pod lędźwi stolec wysunął „notabla“ —
Otom miłościw. Wątłych żal mi sierot.
Luli, chłopięta, luli, — Jam nie Herod.

Aureli Urbański.

Chrystus w starożytnym świecie

Une immense esperance a traversé la terre
En présence du ciel il faut croire ou nier
Mais les indifferents ne sont que des athées
A. Musset.

Badacze dziejów starożytnych znajdują u pojedynczych ludów nietylko dowody znajomości prawa natury i religji naturalnej, lecz nadto i [illegible] ich źródło pierwotne. Najważniejsze z tych podań o raju, o upadku człowieka, o potrzebie [illegible] i o spodziewanem wyzwoleniu od złego są w logicznym ze sobą związku. Nie mogło być mowy o upadku, gdyby nie było podania o raju, który poprzedził upadek; nie byłoby nadziei odkupienia, gdyby nie wiedziano o upadku.

Za czasów panowania Woltera, chociaż te podania nie były tak wszechstronnie znane jak dzisiaj, nie wiedziano, co z niemi zrobić, jak sobie wytłómaczyć. Uważano więc za uniwersalną chimerę, skoro wszystkie starożytne narody czuły, że mają jakieś winy do zgładzenia i stąd wszędzie składają ofiary, a im cenniejsza ofiara, tem ma być milszą bóstwu. Dziś przybyło więcej dowodów, pochodzących od większej ilości narodów, które potwierdzają podania o raju [1]), o upadku i o spodziewanym odkupicielu; historycy nie nazywają ich już powszechnemi chimerami, lecz *nolens volens* z wiarą lub bez wiary uznać muszą, że Chrystus jest osią świata i przynajmniej z Renanem wołać będą do Niego: „Bardziej żyjący, tysiąc razy więcej kochany po śmierci, niż byłeś nim za życia, Ty staniesz się kamieniem węgielnym ludzkości.“

Jeden z najsławniejszych historyków niemieckich, Jan Müller, powie nam, że te wszystkie, różnorodne głosy, które wydaja dzieje, i mitologje wszystkich ludów, są nierozwiązalną zagadką, jak długo się ich nie odniesie do Jezusa Chrystusa [2]).

Podobni ż Weiss, profesor historji na uniwersytecie w Gracu, Weber, Cantu etc.

Przypatrzmy się bliżej, w jaki sposób narody starożytne przechowywały pierwotną obietnicę o Odkupicielu.

Według Plutarcha, Persowie spodziewali się, że przyjdzie czas, kiedy Ariman będzie zwyciężony i ludzie będą znowu szczęśliwi. Podobnież w Zend-Aweście, epoka ta przedstawiona jest według której przyjdzie mąż, zwany Oszanderberga, tj. człowiek świata, który ozdobi ziemię religją prawdziwą i sprawiedliwością [3]).

Według najstarszych podań indyjskich, kiedy pierwsi ludzie z winy niewiasty wypędzeni zostali z raju, pocieszono ich, że kiedyś sam Wisznu będzie ich potomkiem i złych duchów pokona [4]).

Villemain zaś pisze: „Niespokojność religijna, która wstrząszała światem (przed narodzeniem Chrystusa), doszła aż do kontemplacyjnej bezczynności Indjan i zamąciła pokój Braminów. Jeżeli mamy wierzyć badaniom pomników Wschodu (Asiatical Research tom I.), zapowiedź cudownego wydarzenia była równie rozszerzona w Indjach, jak w Judei“ [5]).

U Chińczyków mówi A. Rémusat [illegible] wieku przed Chr., jest oczekiwanie Świętego powszechnem. Konfucius nauczał, że prawdziwy Święty, którego on chciał być tylko posłannikiem, przyjdzie z zachodu [6]).

U Egipcjan znajdujemy walkę między Ozyrysem i Tyfonem, lecz ten ostatni podobnie u Persów Ariman ma być kiedyś pokonanym.

[1]) „L'Anthropologie“ z maja b. r. podaje tłomaczenie tablicy z biblioteki Assurbanipala, która wspomina o stworzeniu raju etc.
[2]) „Sämmtliche Werke“ VIII. 245, XV. 215.
[3]) „Zend-Avesta“, übers. von Klenker, II. 273.
[4]) Wurm, „Geschichte der indischen Religionen“, stronica 240.
[5]) Nouveaux Mélanges“, T. I. s. 101.
[6]) „Notices et Extr. des Manuscr.“, X. 143.

Diodor zachował podanie Libyjczyków, u których znajdowała się świątynia Jowisza Ammona, według którego Ammon wypędzony ze swego królestwa przepowiedział, że później przyjdzie syn jego Dionyzos (Oziris) przywróci rządy ojcowskie i będzie ogłoszony bogiem.

Prometeusz ów najpiękniejszy symbol ludzkości, a w szczególności symbol poetów i artystów sięgających po ogień niebiański; Prometeusz cierpiący wie, że cierpienia jego się nie skończą, aż Bóg ofiaruje się za niego i zechce wstąpić do przybytków śmierci, aby go wybawić. W Alceście, w Ifigenji, w Heraklidach i innych tragedjach greckich znajdujemy ofiarę bohaterów, umierających za kraj, lub rodzinę, jak również to przekonanie, że taka ofiara może być pożyteczną, a Sofokles kładzie w usta Edypa te pamiętne słowa: „Dusza czysta jest w stanie zadosyć uczynić przez dobrowolną ofiarę za tysiąc innych.

Tym sposobem świat starożytny przygotowywał się do późniejszego zrozumienia najszczytniejszej, dobrowolnej ofiary Syna Bożego, która jest podstawą Chrystjanizmu i najtrudniejszym może dogmatem, przed którym rozum ma się ukorzyć. Dla tego też najsławniejsi dzisiejsi apologeci Chrystjanizmu, zbadawszy starożytne religje, mogą powiedzieć, że nietylko duch wszystkich ofiar na ołtarzach wszech ludów składanych, lecz i pojedynczy bohaterowie, poświęcający się na ofiary, ginące za ojczyznę, jak Kodrus, Curtius, Decius itd., są natchnieni myślą mniej, lub więcej świadomą, że potrzebne jest przebłaganie i ekspiacja; apologeci nazywają tych bohaterów figurami antycypowanemi Zbawiciela, które mogły nawet myśleć, że ich ofiara będzie dostateczną, będzie właśnie tą, której od wieków się spodziewano. Specjalne studja nad tym przedmiotem poczynili Sepp, profesor historji w uniwersytecie w Monachium (das Heidenthum und dessen Bedeutung für das Christenthum) Kreuzer, Buttmann, Döllinger (Heidenthum u. Judenthum itd.). Plato najwyraźniej nauczał o przyjść mającym boskim Nauczycielu. Z licznych tekstów objawienie zapowiadających w Apologji Sokratesa, w Fedonie, w Timeusie itd., wybierzmy rozmowę znajdującą się w drugim Alcibiadesie.

S o k r a t e s. Potrzeba, żebyś czekał, aż ktoś cię nauczy, jak masz sobie postępować względem bogów i ludzi.

A l c i b i a d e s. Kiedyż przyjdzie ten czas Sokratesie? Któż będzie tym nauczycielem? Z jakąż przyjemnością bym go zobaczył!

S o k r a t e s. Będzie to ten, który cię kocha... Lecz trzeba przedewszystkiem, żeby duszę twoją uwolnił od ciemności, które ją pokrywają i żeby cię usposobił do odróżnienia dobrego i złego.

A l c i b i a d e s. Niech rozprószy te ciemności i uczyni co zechce, Ktokolwiek to będzie, jestem gotów stać mu się posłusznym, byleby tylko uczynił mnie lepszym.

S o k r a t e s. On ma dla ciebie wielką miłość.

A l c i b i a d e s. Odłóżmy więc moją ofiarę aż do tego szczęśliwego dnia; aby się podobała niebom, żebyśmy długo nie czekali!

„Było powszechnem przekonaniem — pisze Tacyt, że według przepowiedni starych świętych ksiąg. Wschód stanie się mocnym i ludzie, którzy z Judei przyjdą, założą nowe panowanie nad światem."[7]) To samo pisze Suetonius.[8]) Podobniez Cicero napisał: „Stare przepowiednie, przypisywane Sibillom, obiecują, że ukaże się król, któremu trzeba będzie cześć oddawać, aby być uratowanym" i sam się zapytuje kiedy i kto nim będzie?[9]) Sibille za swoje przepowiednie tajemnicze dostały się do śpiewów kościelnych, do świątyń Rzymu, Loretto, ale wprzódy jeszcze zaniepokoiły Senat rzymski. Suetonius opowiada, że w Rzymie oczekiwano mającego się narodzić króla i dodaje: „Senat przestraszony postanowił, że żaden chłopiec w owym roku urodzony, nie będzie chowany"[10]) co według ówczesnych wyobrażeń oznaczało, że nie będzie żyć. Dekret ten został odwołany na żądanie senatorów, którzy w roku tym spodziewali się synów. Wkrótce potem Herod z podobnej obawy kazał wyrznąć nowonarodzone dzieci w Betleemie. Epoka przyjścia króla wieków, wyrachowana przez Sibille, nie wiele różniąca się od rachuby proroków Izraela, natchnęła Virgilego do IV. eklogi:

majora canamus...
Ultima Cumaei venit jam carminis aetas.

My zaś śpiewamy:

„Co pod figurą było
Już się nam ziściło.
Czemu Cię świat przyjąć nie chce
Choć może."

Ks. J. N. S.

Z pamiętnika kobiety!

I.

Mamcia gniewa się, chmurzy,
Smutkiem moim ją trwożę
W domu burza, po burzy,
Złą mi przyszłość los wróży...
Cóż zrobiłam... o Boże!

Tatko chodzi i gderze,
Twierdzi w dziwnym uporze,
Żem ja chora... gdy szczerze
Mówię, zdrowam — nie wierzę
Odpowiada... o Boże!

Chyba nikt już na świecie
Mnie zrozumieć nie może,
Czy mnie mają za dziecię,
Ludzie! czego wy chcecie?
Cóż zrobiłam o Boże?

II.

Że pan Alfred tak często
Dom rodziców zaszczyca,
Że, gdy przyjdzie — rumieniec
Krwią zalewa me lica,
Że gdy mówi z zapałem
Co to miłość rodzinna
Serce głośno mi puka —
Boże! cóżem ja winna!

Opowiadał mi wczoraj
Swego życia koleje,
Kreślił chwile boleści
Odkrył swoje nadzieje!

Mówił, patrząc mi w oczy:
„Miłość zbawi mnie inna",
Wziął mą rękę w swe dłonie...
Boże! Cóżem ja winna.

Szeptał czułe zaklęcia,
Szeptał piękne wyrazy
Moją rękę z uczuciem
Pocałował trzy razy.
Mówiąc idę do mamci,
Mamcia taka gościnna
I łaskawa tak dla mnie...
Boże! Cóżem ja winna!

Z mamcią chwilę był małą
O! coś stać się musiało,
Z przyjemnością w to wierzę,
Bo choć marzę bezczynna
Tatko więcej nie gderze.
Mamcia dla mnie jest inna
I przyznała mi szczerze
Że... jam wcale nie winna...

III.

Dziś po latach przed tobą
Panie! wdzięcznie się korzę
Dziś mi życia ozdobą
Jest maleńki mój bobo
Jakżeś dobry o Boże!
Choć me suknie nie modne,
Chociaż trudno żyć szumnie
Chociaż mleko dziś wodne,
Bobo moje nie głodne
Ono pokarm ma... u mnie.

L. G. Dziubiński.

PO DOBRYM OBJEDZIE.

HUMORESKA.

Wróciłem z proszonego objadu, od mecenasa, w rozkosznem usposobieniu. Rzadko mi się to zdarza od czasu, gdym się uznał sam za starego kawalera. Przyznacie państwo, że to nie jest miłem, gdy człowiek widzi, iż kobiety mają go już nie za mężczyznę, — a nie ma się własnej pani, którąby gotowała rumianek i odgrzewała kataplazmy. Ale dziś, w wesołem towarzystwie kobiet, które pod wpływem szampana zapomniały widać o mojej starości, przy dobrem jedzeniu pysznem winku, coś mię bardzo przyjemnie rozmiękczyło, że byłem kontent ze siebie.

Hultaj mecenas sprzedał jakiejś hrabinie wielki majątek, flota mu nadpłynęła, więc wysadził się z przyjęciem. Trufle nawet były i pasztety strasburgskie. Dobry chłop z niego, umie żyć i umie na to życie zarobić.

Kazałem służącemu nastawić samowar, szklaneczka herbaty z cytrynką bardzoby mi się przydała, a [illegible] lakierki, włożyłem pantofle i usiadłem sobie w fotelu na biegunach, aby tak przy papierosie powtórzyć sobie i podumać, że czasem nie źle to jest człowiekowi być samym.

Powtarzam, że było mi czegoś przyjemnie, a że przywykłem analizować wszystko, zatem zacząłem rozmyślać, z czego też jestem w tak dobrym humorze, przypominam sobie alboowiem, że wchodząc do mieszkania mecenasa, już niosłem ze sobą spory zasób wesołego usposobienia.

Wszak od rana nie zaszło w mem życiu nic tak szczególnego! — Ot, jak zwykle, byłem w biurze, byłem na śniadaniu, ubrałem się, jak zwykle na objad... Aha mam! Właśnie idąc do mecenasa, spotkałem na wylocie z Akademickiej ulicy na Karola Ludwika, moją piękną nieznajomą. Ta sama bestyjka fertyczna, wabiąca i niby nietykalna. Nie wiem dlaczego pierwszy raz ukłoniłem jej się z całą uprzejmością i dziwna rzecz, odkłoniła się z uśmieszkiem, tak coś, jakby zachęcającym.

Z widzenia, to my się znamy już bardzo dobrze i ona wie doskonale, że mi się podoba — któraby też z kobiet o tem nie wiedziała. Od dłuższego czasu spotykamy się, to niby niechcący i przypatrujemy sobie także niby niechcący. Zwykle zatrzymuję się, gdy ona mię mija i idę kawałeczek za nią, a żeby się przekonać, czy tak jest; ona to nie oglądała się wcale, tylko przystanie gdzieś przed wystawą sklepową i spojrzy boczkiem, dopóki znów nie przejdę.

Co ona za jedna — nie wiem. Kilka razy już miałem zamiar śledzić ją z daleka i uważać gdzie wejdzie, ale jakoś odechciało mi się to śledztwo... Jednakże wartoby, jest bowiem bardzo a bardzo milutkie stworzonko. Wzrost ładny, kształtna, ruchy wdzięczne, włosy bogate i czarne jak u kruka, a przytem oczy ciemno-szafirowe, wyraziste, duże, jak u Włoszki, z sinemi naturalnemi podkówkami pod spodem. Wygląda na mężatkę z lepszego towarzystwa, bo ubrana ładnie i z gustem.

A jak ona się milutko dziś do mnie uśmiechnęła ha? Szkoda, że musiałem spieszyć na objad, byłbym poszedł za nią. Kto wie, co z tego być może, jakaś przyjemna awanturka, stosunek sielankowy, to by mię troszkę rozerwało, bo przyznam się, takie życie, jak moje bez żadnego celu i bez żadnych projektów, jest strasznie nudne i ckliwe.

Ziewnąłem, jakby na potwierdzenie tych myśli i spojrzałem na zegarek. Była szósta, jak raz pora, w której ją najczęściej spotykam koło cukierni Grossa. Regularnie tam chodzi i skręca na plac Marjacki, a potem na Pańską. Możeby pójść teraz, co? — myślę — trochębym się orzeźwił na świeżem powietrzu; czas piękny, a nuż ją spotkam, nuż zawiążemy rozmowę, co to szkodzi,—kupić nie kupić, potargować wolno. Wahałem się i namyślałem, i ziewałem. Chęć drzemki z chęcią romansową toczyły z sobą walkę przez kilka minut; wreszcie ta druga chęć wzięła górę, wstałem, ubrałem się i dalejże na Hetmańską ulicę. Idę, a coś w duszy mi szepce, że ją niezawodnie spotkam i cóż państwu powiem — spotkałem.

Na dworze już mrok zapadł, wystawy sklepowe zaczęto oświetlać, ale ja poznałem ją po ruchach i ubraniu. Szła zwykłą drogą i wstąpiła do cukierni. Pilnowałem z daleka, póki nie wyjdzie i zaszedłem jej drogę tak, żeśmy się musieli minąć. Ukłoniłem się, oddała mi ukłon, zarumieniła się i zatrzymała tuż obok przed wystawą składów płótna. Nie namyślając się, stanąłem obok niej, przypatrując się również rozłożonym chusteczkom do nosa.

— Pani daruje — odzywam się nieśmiało — że poważam się przemówić do niej...

Odwróciła się, spojrzała zdziwiona, ale nie rozgniewana.

— Szczególniejszy czar dla mnie ma cała postać pani — mówię dalej, postępując obok niej ulicą. — Czuję, że postępek mój jest więcej, niż niewłaściwy, lecz proszę mi wierzyć, skoro zobaczę panią, tracę wszelką przytomność i sam nie wiem, co robię. Czy pani nie wierzy w instynktową sympatję? — mówię dalej i zapalam się, i improwizuję, jakbym był pierwszorzędnym poetą. Sam się nie poznaję, jak jestem wymownym.

Skręcamy w jakąś boczną uliczkę ciemną, ja idę obok niej i nie wiem, co się ze mną dzieje. Nie mówi nic, ale się lekko uśmiecha i od czasu do czasu zwraca się ku mnie z badawczem, a zarazem przenikającem spojrzeniem, jakby chciała w mych oczach wyczytać, czy mówię prawdę.

Nareszcie w łagodny sposób, pobłażliwie, zaczyna mi dawać nauki, że mężczyzna w tym wieku co ja, nie powinien w ten sposób na ulicy kompromitować porządnej kobiety zamężnej, że jeżeli już chce się poznać bliżej, to przecież tysiące jest sposobów na to, sposobów w towarzystwie znanych, z których, kto chce uczciwej znajomości, skorzystać potrafi...

— Jednakże — kończy — ja radzę i życzę panu — daj pokój temu wszystkiemu, bo to i panu i mnie na dobrę by nie wyszło..

To mnie dało mi wiele do myślenia, więc idę dalej i dowodzę, że siła uczucia jest wyższą nad wszelkie względy ludzkie, a przytem proszę, aby mi dała do niesienia paczkę z ciastkami, które trzymała w ręku I proszę sobie wystawić moją radość — dała.

Chodzimy tak, widocznie bez żadnego celu, może całą godzinę po różnych zakamarkach ulic i rozmawiamy coraz swobodniej. Jestto kobieta kompletnie wykształcona, a tak miła, taka słodka i dowcipna zarazem w rozmowie, że chodziłbym z nią w ten sposób do samego rana bez znużenia.

Nakoniec zatrzymaliśmy się przed jedną z okazalszych kamienic.

— Tu mieszkamy i muszę pana pożegnać! — wyrzekła z pewnym odcieniem żalu w głosie.

— I nie pozwoli mi pani dać się poznać bliżej?

— Nie mogę...

— I nie pozwoli pani spotykać się z nią więcej.

— Nie mogę i proszę pana, abyś o dniu dzisiejszym zapomniał.

— Tego nie przyrzekam, bo również nie mogę i nie potrafię...

Gdyby pani pozwoliła złożyć sobie uszanowanie we własnym domu..,

Milczała i uśmiechała się wahająco...

— Choć raz jeden, pierwszy i ostatni..

— No, raz...

— Dzisiaj, w tej chwili.

— Czekaj pan, proszę za mną na górę . jeżeli męża nie ma...

Byłem w siódmem niebie, stąpałem po schodach wyłożonych dywanem. Zatrzymała się na pierwszem piętrze, drzwi otworzyła kluczem, który miała przy sobie i weszliśmy do przedpokoju.

— Proszę, zatrzymaj się pan tutaj, ja pójdę zobaczyć czy mąż jest u siebie. O tym czasie zwykle kończy swoją poobiednią drzemkę i wychodzi do kasyna. Biedny on, jest cierpiący z powodu wieku i reumatyzmu, a cała jego przyjemność, gdy znajdzie odpowiednią partyjkę wista.

Poszła do dalszych pokoi, a ja z bijącem sercem zostałem w ciemnym przedpokoju, wyrzucając sobie, dla czego dawniej nie postarałem się zapoznać z tak miluchną i uroczą kobietą, która ma starego, zreumatyzmowanego męża...

W chwilę niemal wróciła.

— Mąż jeszcze śpi — rzecze, biorąc mię za rękę — mogę pana przyjąć w moim buduarze, ale do niego trzeba przejść przez salon, obok gabinetu męża. Ma sen nadzwyczaj delikatny, tymczasem pańskie buty tak skrzypią, więc..

— Co więc? — pytam uszczęśliwiony...

— Chyba je pan zdejmiesz i przejdziesz cichutko...

Nie tylko buty, ale głowę z karku zdjąłbym na życzenie tej pięknej kobiety. Za chwilę też, pozostawiwszy zwierzchnie ubranie i owe lakierki w przedpokoju, daję się poprowadzić przez ciemny pokój jeden, potem przez drugi i zatrzymuję się w trzecim. Naraz Beatryca moja puszcza moją rękę i pozostawia mię samego, a za chwilę słyszę trzask zapałki, zabłyska światło i ja stojąc na środku salonu bez obuwia, tylko w skarpetkach, widzę się wśród grona kilkunastu osób, mężczyzn i kobiet, którzy wybuchają naraz homerycznym śmiechem.



Zgłupiałem, dreszcze mię przeszły po całem ciele, a szczególniej czuję niezwykłe zimno w nogi.

— Proszę pana, już jest gotowa herbata! — odzywa się tuż obok znajomy głos Ignacego służącego mojego, który stawia świecę na stoliczku i tackę ze szklanką herbaty...

Przecieram oczy, zrywam się z fotelu i widzę, że jestem w moim pokoju i czuję, że zimny ciąg powietrza z otwartych drzwi od przedpokoju przejmuje moje nogi, z których podczas snu spadły widać pantofle,..

— A więc to mi się śniło! — myślę, rozkazując zamknąć drzwi, któremi zimno wchodzi.

To mi się śniło, a jabym przysiągł, że chodziłem parę godzin z moją nieznajomą po ulicach Lwowa, że ściskałem jej rękę, żem patrzył w jej włoskie oczy i że byłem wystrychnięty na dudka. Spojrzę na zegarek — [illegible] kwadrans spałem w fotelu.. no! jaka to łudząca moc snu!

Wypiłem herbatę z apetytem, ale już straciłem poprzednie wesołe i przyjemne usposobienie. a gdy na drugi dzień, idąc do biura, spostrzegłem z daleka moją piękną i tajemniczą nieznajomą z kruczemi włosami — poszedłem na drugą stronę ulicy, aby się z nią nie spotkać. To co mi się przytrafiło we śnie, mogło się bardzo łatwo stać na jawie, bo takie one są wszystkie. Znajome, czy nieznajome, niby to chcą niby nie chcą, a w rezultacie prowadzą człowieka na manowce, jak zły duch grzeszną duszę, i . w końcu się śmieją!

Lwów dnia 17. grudnia 1891.

Albert Wilczyński.

Ot kłopot!...

(Szkic świąteczny)

Od chwili słyszę w kuchni jakiś gwar tłumiony...
Serce bije przeczuciem... ba! i nie bez racji:
Huk, stuk — drzwi się rozwarły -- pełna irytacji
Jak bomba wpada na mnie.. mamcia mojej żony!

„Co pan tu robisz?" — Jakto. co robię? Pracuję.
„Bagatela! pracuje... ot to dobrodzieje!
A nie zapyta, co się z jego żoną dzieje?..."
— Na Boga! cóż się stało? — „Co? ach sercozbóje!

„Służąca zaglądnęła przez dziurkę od klucza:
„Zosia w swoim pokoju siedzi zapłakana...
„Biedne dziecko! tak cierpi od samego rana
„Bo mąż nawet we wilję nieszczęsnej dokucza!

— Mamo nic nie wiem! — „Kłamiosz!" — Darmo [oponować...
„Maryś! nastaw rumianku! a pan czego stoisz
Jak głaz bez czucia? czy się Boga już nie boisz?
Biegaj prędzej — doktora dla żony przyprowadź!"

Chwytam futro... — Nieszczęście jakieś oczywiste!
Lecz przepraszam, że mamie chwilkę się sprzeciwię,
I nim pójdę, zapytam. co jej jest właściwie,
Żebym chociaż lekarza wezwał — specjalistę.

„Dobrze — pójdźmy; w momencie zapytamy Zosię...
. . . .
„Chore dziecko? co? główka? martwisz się rybinko?"
— Ach tak! mamusiu — karpia kupiłam na rynku.
I nie wiem, czy go smażyć — czy zgotować w sosie?...

Adolf Kitschman

„Wspomnienia legendowe".

(Odczyt, wygłoszony w lwowskiem „Kole literackiem" dnia 18 grudnia 1891).

Jeżeli się poważam w tak poważnem zebraniu odświeżyć niektóre osobiste moje wspomnienia, ukazać pamiątki duszy i serca zwyczajnego — lękam się powiedzieć „przeciętnego" -- człowieka, to jedynie dlatego, że w mojem przekonaniu najskromniejszy nawet żywot indywidualny, podobnie, jak wspólny wiekowy żywot plemion całych i ludzkości, ma prawo posiadać własny swój myt, własne swoje czasy legendowe, własną swą „baśń nad baśniami", uwitą z wrażeń, w wiośnie życia zebranych. W późniejszem życiu legendowe te wspomnienia człowieka, kroczącego zazwyczaj po utartych, jałowych ścieżkach codzienności, stanowią nieraz jakoby błogi cień lipy przydrożnej, w którym znużonemu wędrowcowi i wytchnąć i pierś ożywczą wonią lipowego kwiatu nasycić — i w słodkiem brzęczeniu pszczół-wspomnień sen kojący znaleźć dozwolono. A ileż to razy na owem rozdrożu Dantejskiem:

„W połowie ziemskiej mego życia drogi,
Obłęd mnie chwycił wpośród puszczy srogiej",

— na rozdrożu, przypadającem zazwyczaj na brzask pełni sił żywotnych człowieka — ilez razy w owym Faustowskim chaosie przejrzałego rozumu, legendowe wspomnienia młodości jawią się wśród burzliwych nocy ducha, bądź jako szepty magistralne, bądź jako gwiazdy przewodnie, lub przynajmniej jako wieszcze meteory, które właściwą drogę przed okiem naszem jasrością dzienną oświetlą — cel tej drogi wskażą?

A w czem już cud prawdziwy pomiędzy zjawiskami życiowemi uznawać należy — to w owem tajemniczem powinowactwie pomiędzy wrażeniami duszy, tym posiewem wspomnień, które właśnie są tylko kwiatem, z ziarn wrażeń wykwitłym, a fizycznemi zmysłami człowieka. Wątpię, czy znalaźćby można jednostkę ludzką, w którejby już to arja jakaś, a choćby tylko akord, lub ton jeden — już gra barw jakaś, a choćby tylko tęczowy promień jeden — woń wreszcie jakaś — nie obudzały s t a l e pewnych a zawsze tych samych w treści swej wspomnień, szczególnie zaś wspomnień młodości. Wrażenie, odniesione kiedyś z akordu, barwy, woni, tak ściśle się zespoliło z treścią danej chwili, że we wspomnieniu stało się niejako jej symbolem, ośrodkiem, pobudzającym do niewygasłego nigdy bytowania tej chwili w naszej duszy.

Przyznać muszę, że pokolenie, w którego szeregach los mnie postawił, miało sposobność spędzić swą wiosnę swą młodość na wyjątkowo obfitej w kwiecie niwie wrażeń. W skutek panujących wówczas stosunków zewnętrznych, pod wielu względami upośledzone, jak to zwykle w takich razach bywa, żyło ono -- że tak powiem — podwójnem życiem wewnętrznem. Traktowane po macoszemu w rozwoju swym fizycznym i intelektualnym przez panujący wówczas oficjalny i nieoficjalny system dydaktyczno-pedagogiczny, pracą wrażeń i skupiania się w sobie dochodziło do samopoznania, a nawet do przedwczesnej może dojrzałości, pod wpływem samego ducha czasu, który na niedoścignionych swych skrzydłach niósł naprzemian: [illegible] duchową na wspaniałe [illegible] literatury ojczystej, tęcze [illegible] nadziei narodu, oraz szarugę rozczarowań i gromy klęsk nieopłakanych.

Do snu w kolebce kołysał nas ów tyle charakterystyczny — powiem „ułański" rytm „Pieśń Janusza"; zamiast bajek o zaklętych królewnach, najczęściej tłumaczono grzecznym dzieciom z pieśnią świerczyka znaczenie „białych rabatów" i „Jeszcze nie zginęła — opowiadano o „tysiącu walecznych", o [illegible] „panu naczelniku w siermiędze", o tym „szewcze, co sprawił wrogom wesołko krwawe" — [illegible] z sypiały po kątach z piąstkami kurczowo [illegible], i przez sen wzdychały do białych rabatów i [illegible] weselizka.

Z drugiej natomiast strony, dla „państwa Milusińskich", które to państwo wielmożne święci dziś u nas prawdziwie jakby wiek swój złoty, były to czasy mniej urocze. Ciocia „Różnicka" w towarzystwie wójka „Trzcinkowskiego" panowali wszechwładnie, zarówno w dziedzinie wychowania domowego, jak i publicznego. Ów [illegible] Święty, Święty Mikołaj, serdeczny patron młodzieży, zawsze i stale kombinował nader szczęśliwie swe wiązanie dla „grzecznych dzieci" ze słodyczy pierników i cierpkości różdżki brzozowej; ba, nawet i Dziecię Boże nie omieszkiwało na choince gwiazdkowej umieszczać zawsze tego symbolu goryczy młodocianego żywota.

Miły Boże! a czy to my dziećmi słyszeli co o kolonjach wakacyjnych, a choćby tylko o [illegible] pusach wakacyjnych? Dziatwa rodzin, mieszkających stale na wsi, co prawda, cieszyła się podobnie jak dziś ferjami, spędzanemi na łonie rodziny i natury; lecz biedne chłopaki, a tak samo i dziewczątka rodzin mieszczańskich, w nagrodę najlepszej nawet promocji, w szkole uzyskanej, pokutować musiały przez czas feryj w domu, to jest w mieścisku, które wówczas nie posiadało nawet tych powabów, jakie w parkach dziś posiada, ani dzisiejszych warunków hygienicznych. Przy niełatwej zresztą komunikacji, gdyż o drodze żelaznej, lokomotywie, krążyły wtedy jeszcze tylko złowrogie wieści, ni to o żelaznym wilku, lub Antychryście, przebiegającym świat z rozpalonym piecem żelaznym — przy niełatwej komunikacji nawet średnio zamożne rodziny mieszczańskie nie mogły sobie pozwalać modnych dziś wycieczek na świeże powietrze, albo do wód a już w razie uznanej przez lekarza potrzeby zdobywały się na wyjazd do Stryja, Lubienia, lub Szkła.

Biedowała więc dziatwa mieszczańska przez czas feryj, ale nie w tem jeszcze była cała jej niedola, że w mieście pozostawać musiała przez lato; właśnie bowiem przez czas feryj nauczyciel domowy, korrepetytor, z domu nie wychodził w skutek obawy rodziców, aby zaś ich syn przypadkiem nie zapomniał tego, czego się w szkole nauczył. A im lepsza była promocja w ostatnim kursie, tem większa obawa dekadencji powakacyjnej, tem większa gorliwość korrepetytora — tem mniej dziecku użyczano chwil wytchnienia i rozrywki. Co do mnie na szczęście, czy nieszczęście swoje — należałem wówczas do uczniów najcelniejszych, to znaczy: musiałem przez ferje odsiadywać przy książce bodaj czy nie więcej godzin, niż w czasach kursu szkolnego, aseby tylko — Boże broń — z „pierwszego premjanta" nie zejść w następnym roku na drugiego.

Daleki jestem od wyrażania dziś o to żalu do kogokolwiek, równie jak od porównywania ówczesnego systemu wychowania z dzisiejszym. Za takie rzeczy, sądzę, nie odpowiadają nigdy pojedynczy ludzie, ale tylko ten wielki, wspomniany już mistrz, którego miano: „duch czasu“. Usiłowałem jedynie podmalować tło, na którem osnuwają się ze wspomnień mojej młodości te, które dziś w prawdziwie legendowym przedstawiają mi się uroku.

Więc pierwszy, kilkudniowy pobyt na wsi, pierwsze uwiśnienie u łona tej drugiej matki człowieka: przyrody, pierwsze jej pieszczoty, szepty tajemnicze, pocałunki, wywołujące różane blaski życia na anemicznej twarzyczce mieszczańskiego dziecka, i upajającą, ach, odurzającą rozkosz w czystem jego sercu. Raj ten, niestety, trwał bardzo krótko — a może też właśnie dlatego tak trwałe, tak niczem niezatarte pozostawił wspomnienie Była jednak i druga jeszcze, ważna tego przyczyna. Ośmioletnim chłopczykiem, kiedy pozwolono mi tego raju zakosztować, umiałem już na pamięć znany wierszyk naszego przezacnego Kazimierza z Królówki, „Przechadzkę wieczorną“, a skromny ten kwiatek poetyckiego serca, tyle snać miał barwy i woni dla duszy dziecięcej, że dał jej już naprzód — nie powiem, pełny przedsmak, ale wierne przeczucie tego raju.

„Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy;
Po wsi ścigają się dziatki,
Niosąc ja, ody i kwiatki.

Tam pasterka w głębi sioła
Błędne krówki na noc woła;
Słońce za lasy uchodzi,
Bramy złocone odwodzi.

Koń opuszcza żółte łany,
Wraca miedzą popętany;
Grusze, co w polu się bielą,
Długi ku drodze cień ścielą“...

O tak — nie brakło w tem, czego wtedy już zmysłami dotykałem, ani owych ścigających się po wsi dziatek, niosących jagody i kwiatki — ani pasterki, na noc krówki wołającej — ani uchodzącego za lasy słońca i owych cieniów ogromnych, od drzew ścielących się ku drodze... Ach, więc nietylko wdzięk przyrody przemówił do duszy dziecięcej, ale urok i moc tej poezji, która jak w kryształe odzwierciedlić i utrwalić umie to, co w owym wdzięku przyrody najwdzięczniejsze, najharmonijniejsze. W późniejszem życiu pozwoliła mi Opatrzność poznać jeszcze wiele dzieł i arcydzieł słowa — ale już chyba żadne takiego pobudzającego, że tak powiem „produkcyjnego“ wrażenia nie wywarło na mnie, jak owe proste zwrotki Jana Chrzciciela naszego romantyzmu. Nie przeczę, że coś tu znaczyć mógł indywidualizm dziecka, a nawet przypadek — z tem wszystkiem dziś, jak wówczas, do kolan się stawiam Wergilemu mojej duszy, cześć i miłość mu niosąc za pierwszy raj życia. A i to czuję, że mimo wszelkie zmieniające się prądy w literaturze, Kazimierz z Królówki pozostanie na zawsze u nas pierwszym orędownikiem serc młodocianych, prosto już z nieba zesłanym dziatwie polskiej świętym Mikołajem.

Wkrótce potem zaświtać miał dzień, który podobnież złotą we wspomnieniu pozostanie legendą. W długie zimowe wieczory, po codziennej korrepetycji, najstarszy syn domu miał przywilej, przy stole rodziców odczytywać w głos bądź dziennik — a był nim wówczas w Galicji jeden [illegible] — bądź książkę z rodzaju tych, co to drukowane były na monumentalnej bibule, a grubym elzewirem. Czytało się więc takie poczciwości, jak „Jan z Tęczyna“, a to w pewnych odstępach czasu przynajmniej trzy razy — jak „Borzyński“, Bronikowskiego — „Pojata“, Bernatowicza — „Barbara Radziwiłłówna“, Felińskiego — nie mówiąc już o „poczciwościach“ Walterskotowskich... Istna cukiernia duchowa. Inaczej też być nie mogło wobec żelaznej dłoni absolutyzmu i germańsko-czeskich więzów, które ostatni swój wyraz znajdowały w cenzurze. Aż tu pewnego — ówczesny nauczyciel mój domowy, niezapomniany mi nigdy, a szczigodny pan Franciszek Ślęk, dzisiejszy dyrektor krakowskiej Kasy Oszczędności — przynosi „grzecznemu uczniowi“ do przeczytania niepokaźną, już nawet nie na bibule drukowaną książczynę, oświadczając obecnej matce mojej, że to jest ów „Pan Tadeusz“ Adama Mickiewicza, owe arcydzieło poezji polskiej, którem kraj cały, naród cały tak się już od lat zachwyca — i zalecając mi uważne czytanie książki, abym treść jej i myśli umiał po przeczytaniu opowiedzieć. I oto świat nowy, wspaniały, niebotyczny otworzył się przedemną ze swą niezrównaną plastyką i barwnością, z głębiami uczucia rodzimego, z przepychem słowa — o jakim wychowanek szkół niemieckich nawet przeczucia mieć nie mógł; świat narodowej przeszłości! Czar, pod którym zostawałem wówczas, nic podobno do dziś nie stracił na sile; ale rozkosz, jakiego doznawała młodociana dusza, opromieniła owe chwile legendowym blaskiem, wobec którego gasną światła wielu innych, najbardziej jasnych wrażeń późniejszych.

A teraz: baśni nad baśniami młodości mojej! — promienna, a kirem okryta; — z gwiazdą u czoła, a krzyżem w ręku — ukaż się sercu, które unosiłaś pod słońce nadziei, aby tem dotkliwiej w późniejszem życiu odczuwało krzywdę i niedolę mroźnego jestestwa. Ach, ty byłaś mistrzynią wdowieństwa milionów serc!

Już wojna krymska zażegła zarzewie w młodych umysłach. Walki włoskie o jedność i niepodległość narodową — czerwona koszula Garibaldi'ego — przemieniły te umysły w żywe głownie. A tu mistrz Juljusz już poprzednio lawę słowa pod stopy nam wylał: paliło się od spodu, żar wypełniał powietrze i tamował oddech młodym piersiom — istny wulkan to był już wtedy, gdy nadto wszystko jeszcze nieba swój ogień spuściły, z góry przeznaczeń... Grom niebieski padł na bruku warszawskim — ziemia i niebo stały w ogniu! Już tedy rozchodziło się tylko o hasło... Niestety — biedne młode piersi musiały przez dwa prawie całe lata żyć tym ogniem strasznym i oddech gwałtem w sobie tłumić. Ale życie to nie szło na marne.

Nie pamiętam ani przedtem, ani potem, tak podniosłego nastroju, takiej czystości obyczajów i skromności, takiej wreszcie gorliwości w naukach u młodzieży, jak w owem właśnie dwuleciu, przedzielającem chwilę spadnięcia niebieskiego lontu, od chwili wybuchu miny. Same poczciwe profesorzyska niemieckie wydziwić się tej gorliwości uczniów nie mogły: niejednokrotnie spotykaliśmy się u nich ze słowami szczerego współczucia: „Ach, wy biedaki, jak wam nauka może iść do głowy!“

A jednak szła nauka szkolna raźno do głowy, a nadto zaroiły się młodzieżą boiska gimnastyczne i szermierskie. Piętnastoletni wyrostek brał się nietylko do pałasza, ale do karabina i bagnetu — a duch krzepił się natchnieniami Juljusza na stanowczą chwilę.

Nie było między ówczesną młodzieżą, jak to w nią dziś niektórzy wmówić pragną — żadnych spiskowań, żadnych układów z góry, o rozlew krwi i wzniecanie pożogi; — to były szczere wigilje, w skupieniu sił i ducha spędzane, wigilie do wielkiej, świętej uroczystości narodowej, w której przypadł jej los przelać krew za prawa i godność narodu. Do święta tego przystępowała z całą czystością ofiary.

Jakoż padło hasło — i ofiara została spełnioną. — Nie było mi danem, młodzieniaszkowi, podzielić losu starszej braci, wysączyć krwi z tętnic swoich na polu walki — ale z serca krew ta uszła wtedy wszystka i pozostało ono rozdarte na zawsze.

Baśni moja nad baśniami! tyś zaprawdę była mistrzynią wdowieństwa nietylko mojego ale miljonów serc — a jednak ja ci błogosławię, boś wszystką krew i mękę tych serc wzięła na posiew przyszłości!

Bronisław Komorowski.

Na zawsze!

W niewielkim, skromnie ale schludnie i gustownie urządzonym saloniku, mała tylko lampka abażurowe rzucało światło, w którego słabem objaśnieniu zarysowywały się ledwo kontury mebli i poszczególnych sprzętów, jakby ciemne plamy o rozmaitych kształtach. Jaśniejszy jedynie punkt w całym pokoju stanowił jeden z kątów, w którym przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, nierównym, chwiejnym płomykiem palił się knotek, zanurzony w oliwie, rzucając jakby łunę na śniade, złotemi promieniami otoczone oblicze Madonny.

W głębi widać było stół, białym pokryty obrusem, na stole jeden tylko talerzyk z nieuwolnioną dotąd z czerwonej opaski paczką opłatków.

Na kanapce za stołem, w kąt zasuniętą, siedziała młoda, dwudziestoletnia kobieta. W twarzy jej, nie tyle pięknej, jak miłej i ujmującej dziwnie wyryte były boleść i strapienie, które już nie od dzisiaj, ale czas dłuższy zapewne, toczyć musiały jej serce.

Od czasu do czasu otwierały się drzwi boczne, a wtedy wraz z jaśniejszem światłem wpadał do pokoju drażniący powonienie zapach rozmaitych produktów kuchennych, w którym przeważała nad innemi woń smażonej ryby, a na progu zjawiała się czerstwa staruszka o twarzy poczciwej, ale zdradzającej zniecierpliwienie.

Kobieta, siedząca na kanapce, na chwilę wyrywała się z zadumy i ni to ze snu zbudzona, podnosiła na staruszkę oczy z niemem pytaniem.

— Podawać? — zapytywała stara.

— Nie... czekajmy jeszcze chwilę.. Nie mam ochoty... Za chwilę, za małą chwilę...

W głosie młodej pani tyle było rzewnej prośby raczej, aniżeli rozkazu, że starucha nie ośmielała się sprzeciwić głośno i wracała do kuchni, tam dopiero niezadowolenie swe objawiając mruczeniem.

— Po kie licho czekać! Nikt nie przyjdzie, a tu wszystko na nic się spali. Skaranie boże!...

Odstawiła jeden z garnków, poprawiła coś w rynce i usiadłszy, wpatrzyła się w płonące ognisko.

Kobieta w saloniku na nowo pogrążyła się w zadumę — zdawała się zapadać w stan zupełnej apatji. Wzrok nieruchomy utkwiła w szyby okna, za któremi wiatr miotał płatami śniegu i tworzył z nich jedną olbrzymią, białą, ruchomą płachtę...

Wtem za drzwiami w sieni dał się słyszeć najpierw odgłos kroków, a następnie lekkie, nieśmiałe pukanie.

Kobieta na pierwszy szmer podniosła się i twarz swą z wyrazem zaniepokojenia zwróciła w stronę drzwi, a gdy usłyszała pukanie, wstrząsnął nią dreszcz silny.

Zerwała się i rzuciła naprzód, ale przystanęła zaraz, a rysy jej, na chwilę rozjaśnione, już znowu zdradzały tylko cierpienie. W oczach błyszczała duma, usta zaciśnięte świadczyły o walce, która skończyła się zwycięstwem woli nad pierwszym porywem.

Powolnym krokiem wróciła na dawne miejsce, usiadła i twarz zakryła rękami. Z pod rzęs wypłynęły dwie łzy duże — okupywała niemi odniesione zwycięstwo.

U drzwi powtórzyło się pukanie, tym razem silniejsze nieco.

Młoda pani wyprostowała się, oczy przetarła chustką i suchym, bezdźwięcznym głosem wyrzekła:

— Proszę wejść.

W tejże chwili drzwi, pchnięte silną ręką, odskoczyły, a w pokoju stanął mężczyzna, na którego pięknej, bujnym zarostem okrytej twarzy, widoczne były również ślady przebytego cierpienia.

Postąpił kilka kroków naprzód i zatrzymał się, zmięszany tem przyjęciem. Zapanowało przez kilka chwil milczenie, wśród którego oboje wzajem słyszeć mogli szybkie uderzenia serc swoich. Spojrzenia obojga skrzyżowały się — jej spokojne, dumne, wyzywające — jego korne, błagalne...

— Marjo! — przemówił pierwszy.

Nazwana tem imieniem ożywiła się, pierś jej zafalowała szybciej, oddech stał się krótszym, przyspieszonym... Starała się widocznie opanować wzruszenie. Nareszcie przemówiła głosem cichym, urywanym.

— Pocoś pan przyszedł?... Wywoływać widmo czasów minionych! Dochodziłam już do spokoju, może za nim przyszłoby i zapomnienie... Miesiąc temu — wszak nie tak dawno — powiedziałeś pan: na zawsze! Pocóż teraz znów zjawiasz się przedemną?...

— Marjo! ja tyle przecierpiałem, przebolałem...

— A pan sądzisz — przerwała mu głosem podniesionym — że ja ten czas spędziłam w spokoju, w radości?... Ten miesiąc jeden wydał mi się dłuższym, jak całe moje życie... Zdaje się panu, że w dniach kilku przeboleć można zburzenie wszystkich ideałów, pieszczonych w duszy latami, że można opłakać utratę wiary w ludzi, a przedewszystkiem w człowieka, któremu tię tę wiarę na całe życie przed ołtarzem ślubowało, że można pożegnać się bez żalu ze szczęściem, że można pogodzić się z myślą, iż to szczęście na wieki już złamane? I to wówczas, kiedy się widzi, kiedy się czuje głęboko, że w tem wszystkiem nie masz ani krzty własnej winy?...

Nie mówny o tem, Marjo! Tak, ja i tylko ja byłem tu winny. Ale dziś przychodzę pierwszy, mimo całej mej dumy, przyznaję, że zgrzeszyłem, zgrzeszyłem właśnie tą dumą i porywczością. Ale ty mi przebaczysz, choćby tylko przez wzgląd na przeszłość naszą, przez pamięć tych kilku miesięcy, które przeżyliśmy razem tak szczęśliwie...

— Dajmy temu pokój! Dziś już za późno. Nie wywoływujmy nadaremnie wspomnień, które tylko rozraniają blizny, może jeszcze nie zupełnie zagojone.

— Przeciwnie, Marjo, starajmy się bodaj na chwilę odżyć wspomnieniem, a potem dopiero, gdy przekonamy się, że wszystko już w nas, albo przynajmniej w jednem z nas wygasło, powiemy: za późno!.. Pamiętasz, dziś właśnie rok temu, siedzieliśmy tu, w tym samym pokoju, na tej samej kanapce obok siebie, łamaliśmy się opłatkiem i życzyli sobie wzajem.. Pamiętasz to życzenie nasze, którego nawet usta wymówić nie śmiały, wypowiadały jedynie oczy... Było nas tylko dwoje... żyliśmy nadzieją, że Bóg da, ożywi się nasze skromne gniazdko kimś trzecim, istotą, która jeszcze silniejszemi węzłami nas splecie, najwyższem szczęściem obdarzy... Może wszystko byłoby inaczej, może nie stalibyśmy dziś tak naprzeciw siebie, jak obcy sobie, jak nienawistni prawie. Niestety, Bóg nie dał...

— Bóg dał — wyszeptała młoda kobieta głosem, ledwo dosłyszalnym, a twarz jej oblał gorący rumieniec.

W tej chwili mężczyzna klęczał już przed nią, namiętnemi pocałunkami okrywał jej rączki obie, kraj sukni, stopy, a z wezbranych piersi wydobywały się łkania radośne.

— Prawda to? — szeptał — prawda?... O, teraz nie możesz już mnie odrzucić, nie możesz tego uczynić, nie dla mnie, ale dla niego...

W odpowiedzi pochyliła się ku niemu i skryła spłonioną główkę na jego ramieniu.

O ty niedobra, ty okrutna, ty ukochana moja — mówił dalej — jak mogłaś tak długo przedemną ukrywać?

— A czy nie zasłużyłeś na to niegodziwcze?

Drzwi od kuchni skrzypnęły, a do pokoju wraz z snopem światła i zapachem kuchennych potraw weszła staruszka. Na twarzy jej igrał dobrotliwy uśmiech.

— Podawać? — zapytała.

— Podawać! — zawołał mężczyzna tryumfująco — i... jeszcze jedno nakrycie! Wszak zatrzyma mię pani u siebie? — dodał z udaną powagą, zwracając się do żony.

Skinęła głową potakująco.

— Na zawsze? — zapytała filuternie.

— Na zawsze! — odpowiedział z zapałem

Bronisław Laskownicki.

W mateczniku lwowskim.

HUMORESKA

Mieszkańcom Lwowa, przez rzezimieszków srodze uciśnionym, poświęca autor.

I.

Więc tedy stało się... Pan Hilary Wojciech dwojga imion Rozpędowski, musiał jechać do Lwowa i zabawić tam przez kilka dni, a może nawet przez cały tydzień! Mieszkańcy Kociubiniec, dowiedziawszy się o tem, spoglądali na niego jakby na człowieka straconego, który co najmniej wybiera się do Afryki środkowej, gdzie mieszkają one straszne Kafry, walczące zatrutą bronią. Pan Hilary nadrabiał o ile możności miną, ale w duchu uczuwał coraz większy niepokój. W przeddzień wyjazdu ogarnął go taki strach, że postanowił zabrać ze sobą służącego Pawła, który w Kociubińcach zażywał sławy sprytnego chłopca.

— Pojedziemy obaj do Lwowa, bo tam w hotelach nie szczególna usługa — rzekł do Pawła, zasłaniając właściwy powód niezbyt zgrabnem kłamstwem.

— A kto będzie usługiwać panu adjunktowi? — zapytał chłopak.

— Już ja z panem adjunktem pogadam — odpowiedział Rozpędowski, rad, że Paweł wprost nie odmawia. — Za tę przysługę kupię ci we Lwowie niklowy zegarek.

— Ho, ho! — mówił Paweł śpiewającym głosem. — Wolno we Lwowie kupić nawet złoty zegarek, ale nie wolno go wywieść.

— Nie pleć! — zawołał Rozpędowski — cóż tam zaprowadzili cło wywozowe, czy jakie licho?

— Oj, że licho, to licho — odrzekł Paweł tym samym śpiewającym głosem — we Lwowie — ot jak w wielkiem mieście złodzieje mają prawdziwy raj, a porządny człowiek pracuje tylko na to, ażeby oni mieli co kraść.

Pan Rozpędowski nie przeczył, dzienniki bowiem od pewnego czasu przynosiły codziennie bardzo pokaźną wiązankę misternych sztuczek złodziejskich, które uchodziły zawsze bezkarnie. Wieczorem przy szklance piwa, otoczony gronem przyjaciół i znajomych, odgrażał się często, że gdyby on, Hilary Wojciech dwojga imion Rozpędowski, przypadkowo spotkał się oko w oko z rzezimieszkiem, toby, no toby ha! — teraz jednakże stracił nagle cały animusz rycerski.

— Muszę jechać, muszę — powtarzał rozpaczliwie.

— Jak człowiek musi, to i szubienica nie straszna — zauważył filozoficznie Paweł.

— Ale skądże ty wiesz o tem wszystkiem? — zapytał Rozpędowski niespokojnie, zaczął już bowiem podejrzywać, że może Paweł również niezupełnie jest czysty.

— Wielka rzecz! — odparł lekceważąco chłopak — stara Knyszowa głucha, jak pień, a już także wie o wszystkiem. Przecież ospowaty Franek, co to w Stanisławowie siedział pięć lat w kryminale, pojechał wczoraj ze Lwowa i sam u Lejby Szmerla opowiadał, że łatwiej we Lwowie ukraść zegarek, niż w Kociubińcach kurę. Podobno złodzieje rzucili na policję takie uroki, że...

Dosyć tego, dosyć — przerwał mu Rozpędowski — podaj mi futro i czapkę.

Pawełek podał prześliczne futro bobrowe i takąż czapkę.

— Oj, toby dla Franka była gratka — odezwał się wesoło, nie myśląc nawet, że wbija grot w serce swego pana.

W ponurem milczeniu opuścił Rozpędowski swoje mieszkanie i wolnym krokiem udał się do piwiarni Milchtopfa, gdzie miał pożegnać swych przyjaciół i znajomych. Po drodze rozmyślał nad słowami Pawełka, rozmyślał tak głęboko, że nawet nie wstąpił do trafiki, ażeby kupić według codziennego programu trzy prasowane cygara. W restauracji, począwszy od bezpłatnego praktykanta, a skończywszy na staroście, wszyscy przyjęli go z owym żałobnym szacunkiem, jaki się słusznie należy człowiekowi, jadącemu w tych czasach do Lwowa. Posadzono go na miejscu honorowem, a pan Milchtopf zaraz dał znak rudemu kelnerowi i dwom umyślnie na ten wieczór najętym wyrostkom, ażeby przynieśli sakramentalną polędwicę, która jest podstawą każdej uczty galicyjskiej.

Po kolacji, gdy zaczęły gęsto krążyć kieliszki, poprawiły się humory tak dalece, że ten i ów jął dowcipkować na temat podróży pana Rozpędowskiego.

— Nie taki djabeł straszny, jak go malują — mówił dobrodusznie pan poborca podatkowy — ot na przykład w Macedonji bryganci napadają na pociągi i uprowadzają podróżnych, a przecież i tam ludziska żyją.

— No, no, tak znowu źle we Lwowie chyba jeszcze nie jest — zauważył pan kontrolor.

— Ładna pociecha — odezwał się starosta — przypomina mi to anegdotę o pewnym żydzie, który, jadąc przez wielki bór, pytał parobka, czy nie grasują tam zbójcy. Parobek odpowiedział żydowi, że w lesie owym żadnych nie ma zbójców i że tylko czasami jakiś czarny Iwan urządza w krzakach zasadzkę na podróżnych. Nu, a to nie zbój? — woła przestraszony żyd. Przecież on tamtego roku zabił Mendla z Grzymałowa, zabił całkiem na śmierć, tylko sąd nie mógł mu w żaden sposób udowodnić winy... Zabił, zabił, ale nie naumyślnie — odpowiada z zimną krwią parobek. — Przecież on chciał Mendla ino zagłuszyć, a że go uderzył w głowę kijem trochę za silnie, to już taki przypadek...

Pan Rozpędowski pierwszy zaczął klaskać, chociaż cała ta anegdota wcale mu się nie podobała, sądził bowiem, że pomiędzy uderzeniem ogłuszającem, a uderzeniem zabijającem, zanadto mała istnieje granica. Naczelnik sądu, obeznany z urzędu nieco więcej z psychologją, skierował rozmowę na inne tory, mimo to jednakże od czasu do czasu powtarzały się mimowolne aluzje do podróży Rozpędowskiego.

Nareszcie około północy skończyła się uczta ku wielkiemu zmartwieniu Milchtopfa, który pomiędzy wypróżnione flaszki zdołał przemycić zaledwie cztery, wypite i zapłacone w innym pokoju przez innych gości. Najbliżsi przyjaciele odprowadzili pana Wojciecha aż do drzwi jego domu i tu nastąpiło definitywne pożegnanie.

— Szczęśliwej podróży — mówił pan poborca. — A nie zapomnij wypytać się u radcy o moją zapomogę.

— O dodatek drożyźniany także — dodał kontrolor.

— Nie zapomnę, o niczem nie zapomnę. Będę urgować, prosić, pytać — zapewniał pan Wojciech, podając każdemu po kolei rękę.

Rozeszli się wszyscy ku swoim pomieszkaniom i już pan Wojciech olbrzymim kluczem otwierał dzwi dębowe nabijane gwoździami, kiedy z łona ciemności kociubinieckich zdezwał się donośny głos poborcy:

— Strzeż się we Lwowie przed złodziejami!

Zamiast odpowiedzi usłyszał poborca silne trzaśnięcie drzwiami, którego echo obudziło śpiącego pod dzwonnicą stróża.

II.

W trzy dni potem w tej samej restauracji ci sami goście podejmowali ucztą tego samego pana Rozpędowskiego, który oto, powróciwszy ze Lwowa, stanął natychmiast pośród swoich przyjaciół i znajomych, ażeby się z nimi podzielić świeżemi jeszcze wrażeniami z burzliwej podróży. Kiedy Stanley w królewskiem Towarzystwie geograficznem w Londynie, roztaczał przed oczyma słuchaczy barwny opis pochodu w poprzek Afryki, nie obudził z pewnością ani takiego zajęcia, ani takiego entuzjazmu, ani wreszcie takiego współczucia, jak pan Wojciech swem prostem i przedmiotowem opowiadaniem. Zniknęły wszelkie różnice, nikt nie zważał na rangę, na wiek, na majątek, nawet pan konsyljarz pozwalał bezkarnie deptać po swych nagniotkach, natomiast każdy usiłował docisnąć się do pana Rozpędowskiego. On zaś począł opowiadać ze spokojem człowieka, który wie, że nadzwyczajne zdarzenia, mimo skromnej szaty, pozostają zawsze nadzwyczajnemi:

— Przyjechaliśmy do Lwowa o zmroku. Ścisk był wielki, musiałem uważać, ażeby Paweł nie zginął w tłumie, to też kiedym się wydostał z dworca, nie było już ani jednego fiakra. Spostrzegam na szczęście wóz tramwajowy, idę więc w kierunku czerwonej latarni, za mną zaś Paweł. Zaledwie zrobiłem dwadzieścia kroków, gdy nagle u stóp mych potyka się i przewraca jakiś jegomość, porządnie ubrany. Oczywiście ja padam na niego, a na mnie Paweł z waliską. Inny jakiś bardzo grzeczny jegomość podnosi nas z ziemi, przepraszamy się i dziękujemy sobie nawzajem, poczem nareszcie dobijam szczęśliwie do tramwaju. Tu nowy kłopot z walizą, której konduktor nie chciał przyjąć, powołując się na rozmaite przepisy, dzięki jednakże energji Pawełka, wcisnęliśmy się do wagonu. Kasę podręczną, złożoną z kilkunastu guldenów, umieściłem w czerwonym pularesie — wiecie? — w tym, który na imieniny otrzymałem od poborcy...

— Aha! Ten czerwony, wiemy, wiemy — zawołali chórem słuchacze.

— Kosztował pięć reńskich.

— Otóż ten pulares, okulary, cygara i cygarniczkę ulokowałem dla wygody w torebce wiszącej, do której kazałem, jak wam wiadomo, dorobić przed odjazdem nowy pasek. Celem zapłacenia należytości za bilety, sięgam do torebki — ba, nie ma jej... Szukam przed sobą, szukam na jednym boku, szukam na drugim, szukam na plecach — nie ma! Dopiero przy pomocy Pawełka wydostałem z po za kołnierza od futra kawałek paska, na którym widoczne były ślady ucięcia ostrem narzędziem. Nie ulega wątpliwości, że ów jegomość, który się przewrócił u stóp moich, był w zmowie z tym, który nas ratował i że jeden z nich odciął i zabrał torebkę.

— Odciął i zabrał — powtórzyli słuchacze.

— Wydobyłem pieniądze z głównej kasy w surducie i zapłaciłem za bilety, kawałek zaś paska schowałem na wieczną pamiątkę — mówił dalej pan Wojciech. — Kiedy opowiedziałem pasażerom o tej przygodzie, wszyscy machnęli ręką od niechcenia, a sąsiad mój z najzimniejszą krwią zapewniał, że o takich drobnostkach nawet się nie mówi.

— Miłe miasto — zauważyli słuchacze.

— A masz pan ten pozostały kawałek paska? — zapytał pewien amator *ferbla*, korzystając z przerwy. — Taka rzecz przynosi szczęście, podobnie jak postronek z wisielca.

Audytorjum wybuchło szalonym śmiechem, pan Rozpędowski zaś wobec tak niewczesnego pytania zachował pełne godności milczenie.

— Mówże pan dalej — nalegali niecierpliwi słuchacze.

— Na placu Gołuchowskiego wysiedliśmy z tramwaju — ciągnął dalej Rozpędowski. — W mgnieniu oka otoczyła nas cała zgraja faktorów, uliczników i najrozmaitszych próżniaków. Proszę pana do tego hotelu — niech pan nie wierzy, proszę do tego — panie, centa na chleb dla chorej matki — panie, cencika dla sieroty — wrzask, ścisk, Sodoma i Gomora!... Opędzam się jak mogę tej zgrai, gdy nagle usłyszałem przed sobą rozpaczliwy okrzyk Pawła. Oglądam się i i spostrzegam, że Paweł pędzi jak szalony i woła: chwytajcie złodzieja, chwytajcie!... Myślę sobie: pewnie waliskę porwał rzezimieszek, więc tedy podnoszę futro i pędzę na pomoc Pawłowi, pędzę ile mi sił starczy — ja, który mam astmę i pięć krzyżyków. Już mi zaczęło tchu brakować, aż oto z przerażeniem widzę, że policjant chwyta Pawła za kark i ciągnie go za sobą. Biedny Paweł szarpie się, wydziera, krzyczy, a w tem nadchodzi drugi policjant, poczem obaj biorą go pod pachę i prowadzą niezbyt delikatnie. Przybiegam do nich, wyjaśniam po długich korowodach całą sprawę, uwalniam Pawła z rąk siepaczy, ale tymczasem waliskę wzięło licho.

Radźcie panowie — odzywam się do policjantów.

— My? — zapytują obaj zdziwieni.

— Przecież nie ja! — odpowiadam sirytowany.

— To prawda — mówią oni i spoglądają na siebie jak gdyby w swych twarzach szukali natchnienia.

Ja cierpliwie czekałem, sapiąc, jak miech kowalski.

— Szkoda czasu — zawyrokowali po długim namyśle. — Tu już nikt nie poradzi, nie ma śladu żadnego, ale my swoją drogą zrobimy *Meldung*.

— U nas w Kociubińcach inaczej — rzekł pan burmistrz.

— Kiedyśmy się znaleźli w hotelu, odetchnęliśmy nareszcie swobodnie — opowiadał dalej pan Rozpędowski. — Nieszczęście zbliża ludzi, to też ja i Paweł jedliśmy kolację nie jak pan i sługa, ale jak dwaj przyjaciele. Mimo wstrząsających wrażeń, spaliśmy i w nocy bardzo dobrze dopiero o dziewiątej rano obudził mnie Paweł. Ponieważ w skradzionej walizie miałem ubranie wizytowe, strój frakowy i bieliznę, więc musiałem do radcy nawet iść tak, jak przyjechałem. Poczciwy radca przyjął mię z serdecznem ubolewaniem i obiecał wszelką pomoc, a po stosownem z mej strony podziękowaniu, rozmawiał ze mną przeszło godzinę. Gdy się wizyta skończyła, odprowadził mnie sam do przedpokoju, w którym drzemał woźny.

— Tomaszu, podajcie panu futro — zawołał radca.

Zerwał się Tomasz, aby mi usłużyć, ale.. futra nie było...

— Ależ to prawdziwy matecznik złodziejski — rzekł poborca.

— Prawdziwy matecznik — przyznał Rozpędowski, kończąc opowiadanie. — Radca wpadł w pasję, Tomasz biegał jak oparzony, ja stałem jednakże spokojnie, wiedząc z doświadczenia, że futro zginęło bezpowrotnie. Powróciłem do hotelu w pożyczonym paltocie, na którego widok domyślny Paweł załamał ręce.

— Panie, uciekajmy stąd, bo oni nam gotowi dusze powykradać — błagał strapiony chłopak.

— I niklowy zegarek — szepnął ktoś po cichu.

— Innej rady nie było — zakończył pan Wojciech. — Opuściliśmy natychmiast Lwów, straciwszy kilkanaście reńskich, pulares, torebkę, waliskę z rzeczami i futro bobrowe. Rozpędowski

To powiedziawszy spojrzał pan, które w kącie z boleścią na swoje skanki mizerne wisiały skromnie na kołku.

Henryk Josse.